SOBOTA
Nr 44 12 IV 1980 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Oni już mają pierwszą wiosenną wycieczkę za sobą. A Wy? Fot. **W. Wróblewski**

I METAL MA SWEGO ROBAKA...

Czy to kosmici wznieśli nierdzewne słupy żelazne w Indiach? Na co chorują metale i jakie lekarstwa stosuje się na ich schorzenia? Gdzie co roku podziewa się dwadzieścia miliardów złotych?

Na te pytania odpowiecie sobie sami po przeczytaniu artykułu pt. „I METAL MA SWEGO ROBAKA" na str. 2

CZYTELNICY ŚWIATA MŁODYCH BUDUJĄ DAR MŁODZIEŻY

BOLESŁAWIEC BLIŻEJ MORZA

W odpowiedzi na apel szefa Klubu Przyjaciół m/s „Leonid Teliga" o pomoc w budowie „Daru Młodzieży" zorganizowaliśmy zbiórkę surowców wtórnych. Brała w niej udział cała społeczność szkolna. Szczególny wkład miały młodsze dzieci z klas I–V. Dzięki tej akcji uzyskaliśmy 800 zł, które wpłaciliśmy na konto budowy „Daru Młodzieży". Uważaliśmy to za swój obowiązek, ponieważ nasza szkoła od wielu lat utrzymuje bliskie kontakty z polskim morzem. Dzięki tej akcji zbliżyliśmy się jeszcze bardziej do wód Bałtyku. Cieszymy się bardzo, że ten skromny wkład będzie małą cegiełką w budowie tak wspaniałego symbolu wspólnej pracy całego społeczeństwa.

Samorząd Uczniowski
przy Szkole Podstawowej nr 8
w Bolesławcu

TAJEMNICA „CZARNEJ MASKI"

Wszedłem na klatkę schodową starej kamieniczki na Pradze. Sprawdziłem wiszącą w gablocie listę lokatorów. Tak, to tu, na drugim piętrze mieszka ów tajemniczy dżentelmen, który blisko pół wieku temu szokował swoimi występami bywalców Cyrku Braci Staniewskich. Jeszcze kilka stopni i za chwilę stanę oko w oko z legendarnym zapaśnikiem, ukrywającym niegdyś swoją twarz pod czarną pończochą...

DALSZY CIĄG NA STR. 4

3-calowy obraz, ale za to jasny!

KIESZONKOWE TELEWIZORY

pojawią się na rynku brytyjskim

WIELKA BRYTANIA (PAI). Firma Sinclair Radionics Ltd. opracowała prototyp płaskiego miniaturowego kineskopu o przekątnej ekranu 3 cale. Jest on przeznaczony dla kieszonkowych odbiorników telewizyjnych. Przebieg wiązki elektronów jest tutaj inny, niż w klasycznych kineskopach, co znacznie zwiększa jasność obrazu. Przewiduje się, że seryjną produkcję takich miniaturowych telewizorów przeznaczonych do odbioru programów czarno-białych rozpocznie się w ciągu najbliższego roku. **(tok)**

REPORTER Świata Młodych

Zawsze realny – pokój!

W szkole zapoznałem się na jednej z lekcji z reportażem Olgierda Budrewicza pt. „Od Warszawy do Hiroszimy", w którym autor przedstawił swoje przeżycia z pobytu w mieście zagłady. Przedstawione przykłady wyraźnie ukazują, że pomimo iż ubiegło tyle lat od wybuchu bomby atomowej, to jeszcze dzisiaj można spotkać trwałe ślady tej gehenny, jaką przeżyli Japończycy. Reporter odwiedził szpital-pomnik, w którym leżeli ludzie, bezradni w swej słabości, z symptomami choroby popromiennej. Pomimo iż miał pozwolenie na robienie zdjęć, nie wykonał ani jednego, to było ponad ludzkie siły...

Byłem osobiście w miejscu zagłady olbrzymiej rzeszy ludzi różnych wyznań i narodowości – w Oświęcimiu. Miejscu odwiedzanym corocznie przez ludzi całego świata. I łatwiej powiedzieć, kto nie był w Oświęcimiu, niż kto był, i jeszcze będzie. Te przykłady, o których wspomniałem, są jedną z pamiątek, jakie pozostawiła po sobie wojna. Przykłady, te wywierają trwały ślad na ludzkiej pamięci.

Pomyślmy o czasach dzisiejszych, gdy uzbrojenie jest niewspółmiernie większe od tamtych czasów tragicznych. Pomyślmy, jakie konsekwencje przyniósłby konflikt zbrojny w czasach ogromnego postępu techniki, zdobywania kosmosu, odkrywania ciągle nowych tajemnic przyrody. Wiemy, że ten konflikt przyniósłby najstraszniejsze skutki, czyli zagładę całego świata. Dlatego też my, młodzi, musimy również walczyć o pokój. Swoimi aspiracjami możemy zmienić ten świat choćby w najmniejszym stopniu na świat coraz lepszy, coraz doskonalszy. Dzisiaj możemy się spokojnie uczyć, bawić, jeździć na kolonie, obozy, po prostu wypoczywać. Możemy być szczęśliwi żyjąc w pokoju, bez żadnej groźby wojny. Pomimo bezpieczeństwa, o które dzisiaj dbają starsi, a o które jutro będziemy dbać my, nie możemy zapominać o tym co było, nie możemy być obojętni na to, że jeszcze dzisiaj istnieje wiele ognisk zapalnych na świecie, że jeszcze dzisiaj toczą się walki i giną ludzie.

Wyglądam przez okno, na dworze ciepło, chyba zbliża się wiosna; mogę spokojnie iść się bawić na podwórko.

STANISŁAW DŁUSKI

Oryginalny pomysł polskich energetyków

ŚCIANY, KTÓRE GRZEJĄ I... OSZCZĘDZAJĄ ENERGIĘ

WARSZAWA (PAI). W Instytucie Energetyki w Morach opracowano oryginalną koncepcję ogrzewania pomieszczeń przez bezpośrednie nagrzewanie ścian. Jest to rozwiązanie tanie i nieskomplikowane; autorzy przedstawili je w kilku wariantach. M. in. w jednym z nich zastosowano szeroki płat styropianu, osadzony w ramach. Na styropian naklejono cienkie paski folii, przykrywając całość tapetą. W rogu umieszczono wyłącznik elektryczny. Dwa cienkie przewody łączą ramę z gniazdkiem elektrycznym. Po 2 minutach płaszczyzna ta nagrzewa się do żądanej, stałej temperatury. Zaletą tego systemu jest oszczędność energii, wygoda i niezawodność.

(tok)

SPRZĘT FOTOGRAFICZNY Z RZESZOWA

(CAF). Polskie Zakłady Optyczne posiadają swoją filię w Rzeszowie, specjalizującą się m. in. w produkcji soczewek do aparatów fotograficznych, a także elementów do lup, lornetek, rzutników, powiększalników i innego sprzętu optycznego. Od ubiegłego roku rzeszowski zakład wytwarza także amatorskie aparaty fotograficzne „Ami" oraz bateryjne i sieciowe przeglądarki do przeźroczy. W tym roku do sklepów na terenie całego kraju trafi około 40 tys. aparatów „Ami" i blisko 30 tys. przeglądarek. Wyroby te zyskują coraz większą popularność. Ich dobra jakość i przystępne ceny sprawiają, że odbiorców systematycznie przybywa, szczególnie wśród młodzieży i amatorów fotografii. **(kż)**

Fot. **CAF – Łokaj**

5 WIEKÓW PARLAMENTARYZMU POLSKIEGO

W kuluarach gmachu Sejmu PRL 2 bm eksponowana była wystawa unikalnych dokumentów i druków ukazujących tradycje polskiego parlamentaryzmu od XV w. Ekspozycję tę, przygotowaną przez Archiwum Główne Akt Dawnych w Warszawie, z ogromnym zainteresowaniem zwiedzili posłowie uczestniczący w obradach Sejmu.

Wystawę tych niezwykle cennych rękopisów i druków otwierały dokumenty z XV wieku, a wśród nich najstarsze – uchwały Sejmu Piotrkowskiego z 1493 r. Ukształtowany z tradycji wieców, sejmików ziemskich, walnych zgromadzeń ogólnopaństwowych, Sejm ten stał się instytucją przedstawicielską, a jego zwołanie uważane jest za moment narodzin parlamentu polskiego Rzeczpospolitej szlacheckiej.

Wśród dalszych dokumentów: statut Jana Łaskiego z 1506 r. zawierający zbiór praw i przywilejów królów polskich, akt Unii Lubelskiej, „Pacta Conventa", akty elekcyjne królów polskich, a także uchwała sejmowa z 1573 r. zapewniająca różnowiercom równouprawnienie z katolikami i opiekę państwa.

Osobne księgi zawierają wystąpienia na Sejmie Czteroletnim (1788–1792) będącym apogeum szlacheckiej Rzeczpospolitej, dokumenty dramatycznej walki o uratowanie niezawisłości państwowej, o program reform. Rękopis Konstytucji 3 Maja 1791 r. ukazuje tę doniosłą ustawę zasadniczą, która była kluczowym elementem dzieła naprawy. Przypomnijmy, że była ona jednym z najbardziej postępowych aktów swej epoki i ówczesnego świata, wpisała się na stałe do najbardziej postępowych tradycji naszego narodu.

Dalsze dokumenty prezentują materiały Sejmu w latach Księstwa Warszawskiego (1807–1815) oraz Królestwa Polskiego (1815–1831), a m. in. kodeksy prawa karnego i cywilnego. W zbiorach – historyczny akt z czasu Powstania Listopadowego, uchwała Sejmu najwyższej władzy oswobodzonego królestwa – o detronizacji cara Mikołaja I jako króla Polski. Niezwykle interesującym dokumentem jest traktat Wojciecha Jastrzębowskiego z 1831 r., zawierający projekt powołania europejskiego parlamentu jako organu rozstrzygającego na drodze rokowań zagadnienia międzynarodowe, podkreślający konieczność działania państw dla urzeczywistnienia wieczystego pokoju, m. in. na drodze całkowitej demilitaryzacji, a także akcentujący rolę kształtowania osobowości ludzkiej w procesie wychowawczym w duchu wzajemnego zrozumienia narodów.

Wystawa prezentuje również szereg nowszych wydawnictw książkowych poświęconych dziejom parlamentaryzmu w naszym kraju.

Spadkobiercą postępowych tradycji narodowych, w tym postępowych tradycji polskiego parlamentaryzmu jest Sejm PRL – najwyższy organ władzy państwowej. (PAP)

I METAL MA SWEGO ROBAKA...

W północno-zachodnich Indiach, opodal pustyni Tarr, stała ogniś kolumna żelazna, podobna do stojącej dzisiaj w Delhi i równie czczona przez ludność. Każdy przechodzień dotykał kolumny „na szczęście", a ona lśniła metalicznie i odbijała promienie słońca, nie ulegając zmianom przez długie, długie lata. Może do dziś stałaby w tym samym zakątku, gdyby nie zainteresowali się nią Anglicy i nie wywieźli za morze.

Jeszcze tragarze nie zdążyli wyładować kolumny ze statku na brzeg, a już straciła swój pierwotny blask. Nie postała długo w muzeum, a pokrył ją rudawy nalot. Kolumna, posądzana o pochodzenie kosmiczne, stała się wielkim kawałem zwykłego żelaza (ściślej mówiąc, stali).

Czy zemsta kosmitów?

Czyżby zadziałały ufoludki? Czy kolumna zachorowała? Można to i tak nazwać – metale nie chorują wprawdzie na grypę ani zapalenie płuc, ale czynniki zewnętrzne też na nie działają, czasem niekorzystnie. Jedne metale mniej, inne więcej, są atakowane przez wodę, powietrze i zawarte w nich zanieczyszczenia.

Skutek znamy. Wysłużone, żelazne obręcze beczek w niczym nie przypominają pięknych, lśniących okuć z początku służby – są chropowate, porowate, odpadają od nich płaty rdzy, a przy zginaniu łamią się łatwo. Ileż takiego zardzewiałego żelastwa znajdujemy przy zbiórce złomu!

Zresztą nie tylko wyroby stalowe („żelazne") zachowują się w ten sposób. Czynniki atmosferyczne i chemiczne atakują prawie wszystkie metale, tylko nieliczne stanowią wyjątek – dlatego przysługuje im tytuł szlachetnych: złoto, platyna, po części srebro. Te inne, nieszlachetne, ulegają w walce, niszczeją. Zjawisko to nazywa się korozją, co po łacinie znaczy „wygryzanie".

Gryzienie na kilka sposobów

Rozróżnia się kilka sposobów niszczenia metali:

– **korozja chemiczna**, polega na bezpośrednim działaniu gazów na metale, zwłaszcza w wyższych temperaturach,

– **korozja elektrochemiczna**, czyli niszczenie metali wskutek przenoszenia ładunków elektrycznych – powstawania prądu z udziałem elektrolitu,

– **korozja atmosferyczna** – odmiana elektrochemicznej – polega na działaniu wilgoci, powietrza i zawartych w nim pyłów, dwutlenku węgla i innych składników na metal. Korozja atmosferyczna przebiega słabiej w lecie niż na wiosnę, na wsi łagodniej niż w mieście, a w miasteczku wśród lasów znacznie wolniej niż w pobliżu ośrodków przemysłowych.

Jak zachodzi owo „wygryzanie"? Oto cząsteczki tlenu z powietrza atakują atomy metalu, wyrywają je z gęstej sieci krystalicznej, łączą się z nimi. Atak ułatwia wilgoć, dwutlenek węgla, siarkowodór, dwutlenek siarki, nad morzem chlorki i siarczany z rozpylonej wody. Najtrudniej „zdobyć" pierwszy atom, później wyrwa w strukturze metalu poszerza się coraz bardziej.

Mówiąc ogólnie, korozja to procesy chemiczne, w których metale reagują z pierwiastkami niemetalicznymi z otoczenia, tworząc związki chemiczne. Można więc powiedzieć, że korozja jest procesem odwrotnym do otrzymywania metali z rud i minerałów.

Czynniki „chorobotwórcze"

Odpowiednikiem ludzkich bakterii, wirusów, dymu papierosowego i innych trucizn są dla metali chemikalia. Różny stopień atakowania metali przez korozję atmosferyczną jest spowodowany różną zawartością gazów w warstewce wilgoci, skroplonej na powierzchni metalu – przede wszystkim tlenu, dwutlenku węgla, siarkowodoru i dwutlenku siarki, chlorków i siarczanów, chlorowodoru, amoniaku itd.

Kolumna indyjska z pustyni Tarr przetrwała wieki w stanie wyśmienitym, gdyż chronił ją nie UFO, lecz suchy klimat i brak agresywnych gazów w atmosferze!

Szczególnie silnie działa na metale, przede wszystkim na stal, woda morska (mineralna też!), ze względu na rozpuszczone w niej sole.

Również gleba zawiera różne ilości kwasów i soli, powodując łącznie z wilgocią korozję przedmiotów metalowych. Widzieliście w muzeum miecze z wykopalisk archeologicznych? A jak wygląda nóż, zostawiony na noc przy ognisku? Najsłabiej koroduje stal w gruncie piaszczystym i marglowym (wapiennym), najbardziej w mułach i bagnach, gdyż tam jest najwięcej rozpuszczonych soli mineralnych i związków siarki.

Spośród różnych metali i ich stopów najmniej odporna na korozję jest stal, najbardziej rozpowszechniony metal konstrukcyjny. Nic więc dziwnego, że głównie w stosunku do stali stosuje się najrozmaitsze sposoby chroniące ją przed korozją, a ściślej biorąc, zmniejszające jak najbardziej szybkość korozji.

Leki nie z apteki

Jak obliczono, 10% rocznej produkcji stali obraca się w rdzę! Pomyślmy – w Polsce wyrabia się 20 mln t stali, więc dwa miliony ton rocznie w postaci wyrobów ginie bezpowrotnie. Wartość tych strat wynosi od 4 do 20 mld zł – trudno jest obliczyć, ile zniszczyło się silników, a ile puszek od konserw.

„Lekarstwa" przeciw korozji działają w dwóch kierunkach:

- Wytwarzanie stopów odpornych na korozję przez dodatek chromu, niklu, wolframu, miedzi itp.,
- przez wytwarzanie na powierzchni przedmiotów stalowych rozmaitych powłok ochronnych, jak np. powłoki galwaniczne (chromowanie, niklowanie), zanurzanie w roztopionych metalach lub natryskiwanie ich (cynkowanie, cynowanie, aluminiowanie), malowanie farbami ochronnymi (olejnymi, miniowymi, kauczukowymi itd.), powlekanie ołowiem, ebonitem, gumą, emalią, tworzenie ochronnej warstwy fosforanów.

Na krótki czas, szczególnie w pomieszczeniach zamkniętych, zabezpiecza się przedmioty metalowe przed korozją przez posmarowanie dobrze oczyszczonej powierzchni obojętnymi tłuszczami, jak wazeliną, towotem, olejem maszynowym.

Do roboty!

Każdy ma swego robaka, co go je – metale, jak widać, też. Żeby jednak nie gryzło nas sumienie z powodu korozji, nie zostawiajmy brudnych rowerów, skontrolujmy ich stan, oczyśćmy i nasmarujmy gdzie trzeba okucia nart i sanek, metalowe części wyposażenia sportowego, co tylko potrafimy. Z korozją trzeba walczyć na każdym kroku!

KRZYSZTOF GUTORSKI

Fot. K. Adamowski i archiwum

SEJM ÓSMEJ KADENCJI

2 kwietnia zebrał się na swym pierwszym posiedzeniu nowo wybrany Sejm PRL. Jest to ósma kadencja najwyższego organu władzy w Polsce Ludowej. Zgodnie z procedurą, obrady otworzył najstarszy wiekiem poseł, Jerzy Zientek, on też przyjął ślubowanie 460 posłów. Następnie Izba wybrała Marszałka Sejmu, którym został ponownie Stanisław Gucwa – prezes NK ZSL. Od tej pory obradom przewodniczył Marszałek Sejmu. W tym samym dniu posłowie wybrali spośród siebie Radę Państwa z jej przewodniczącym, profesorem Henrykiem Jabłońskim, a także prezesa Rady Ministrów tow. Edwarda Babiucha. Kandydatury te zgłosił w imieniu Centralnej Komisji Porozumiewawczej Partii i Stronnictw Politycznych I Sekretarz KC PZPR, poseł Edward Gierek. Przemawiając w pierwszym dniu obrad Sejmu tow. Edward Gierek podziękował wszystkim Polkom i Polakom za zaufanie, za zaszczytny mandat, jaki powierzyli posłom. „Dbać będziemy o to, aby rola Sejmu w życiu państwowym i społecznym odpowiadała w pełni zasadom Konstytucji, by nasza działalność zawsze i bez reszty służyła dobru ludzi pracy i pomyślności Ojczyzny" – stwierdził tow. E. Gierek.

Mówiąc o zadaniach gospodarczych, pierwszy sekretarz przedstawił cztery grupy najważniejszych spraw, którymi będzie się zajmował Sejm i rząd:

– po pierwsze – zapewnienie większej zgodności płacy z wynikami pracy i skuteczniejsze przeciwdziałanie nieuzasadnionemu i nadmiernemu zróżnicowaniu dochodów.

– po drugie – szczególna dbałość o grupy społeczne i rodziny żyjące w trudnych warunkach.

– po trzecie – stałe polepszanie i wyrównanie szans życiowych mierzonych dostępem do szkoły i zawodu, do opieki zdrowotnej i mieszkań.

– po czwarte – umacnianie sprawiedliwości w polityce kadrowej i awansowej, rozuzianie świadczeń społecznych, w rozstrzyganiu spraw obywatelskich przez urzędy w życiu codziennym.

W drugim dniu obrad przemówienie wygłosił premier Edward Babiuch. W swoim exposé premier wskazał, co rząd zamierza czynić by osiągnąć postęp w najważniejszej dziedzinie – w produkcji materialnej, tworzącej podstawę konsekwentnego rozwoju. Potrzebna jest gospodarność na każdym kroku, aby pełniej wykorzystać nasz nowoczesny potencjał przemysłowy. Wszystko powstaje tylko z naszej pracy. Niezbędna jest więc praca rzetelna, dobrze zorganizowana, celowa. „Nie będziemy tolerować pracy na pokaz nie liczącej się z kosztami" – stwierdził Edward Babiuch.

Premier Babiuch poruszył wiele problemów, którymi będzie zajmował się rząd w trosce o sprawy bytowe ludności. Ważne miejsce w programie rządu zajmuje rynek wewnętrzny, starania o poprawę zaopatrzenia, wzmocnienie polskiego pieniądza. Równie istotnym problemem będzie rozwój budownictwa mieszkaniowego, poprawa zaopatrzenia w leki, itp. Jesteśmy ciągle krajem na dorobku, ale mamy ambicje nadal szybko się rozwijać. Nie jest to w dzisiejszej sytuacji sprawa łatwa. Piętrzą się przed nami trudności wywołane czynnikami zewnętrznymi – dekoniunkturą w wielu krajach i związanymi z nią ograniczeniami w handlu międzynarodowym, wzrostem cen wielu surowców, które musimy importować. Przedstawiając zamierzenia rządu, premier nie obiecywał natychmiastowych sukcesów, byłoby to po prostu nierealne. Nie mniej zrealizowanie ambitnego programu rozwoju Polski, nakreślonego na VIII Zjeździe Partii jest możliwe, zależne przede wszystkim od nas samych, od rzetelnej pracy na swoim stanowisku każdego Polaka.

Sejm VIII kadencji przyjął również zgłoszony przez premiera skład nowego rządu.

ST. BOROWIECKI

Drukujemy dziś dokończenie wspomnień o Włodzimierzu Iljiczu Leninie, które zaczerpnęliśmy z zapisów ludzi Jemu współczesnych – członków rodziny, towarzyszy walki, współpracowników. Poprzedni odcinek wspomnień kończył się opowiadaniem Stefana Gila – kierowcy Iljicza, o wspólnych z Leninem polowaniach, o obdarowywaniu myśliwskimi trofeami towarzyszy i przyjaciół...

Przed 110 rocznicą urodzin

PROSTY, JAK PRAWDA

Nie sposób nie wspomnieć w tym miejscu o „drugiej stronie medalu". Lenin bardzo nie lubił prezentów, upominków. A w ciągu ostatnich lat jego życia często nadchodziły na jego nazwisko z różnych miast i wsi przesyłki zawierające żywność. Nie przyjąć? Odesłać? Prości ludzie obrażą się; przecież to „z serca". Więc przeważnie wyglądało to tak. Sania Sysojewa, pracownica domowa Lenina komunikowała:

– Włodzimierzu Iljiczu, znów nadeszła na wasze nazwisko przesyłka z żywnością. Przyjąć?

– Przyjąć, naturalnie, że przyjąć – odpowiadał Iljicz – i natychmiast, Saniu, odeślijcie to do żłobka lub szpitala dziecięcego.

A następnego dnia zazwyczaj sprawdzał:

– No cóż, Saniu, odesłaliście tę przesyłkę?

Pewnego razu wołżańscy rybacy przywieźli dla Iljicza jesiotra. Sania zaczęła rybę oprawiać.

– Jak to dobrze! – cieszyła się. – Przecież nasz Iljicz prawie głoduje, a ryby starczy na kilka dni.

Nagle do kuchni wszedł Lenin.

– Wspaniała ryba! – zawołał. – A skąd ją macie?

Gdy się dowiedział, że to od rybaków w podarunku, oburzył się:

– Natychmiast tę rybę zapakujcie i odeślijcie do domu dziecka. Też pomysły! Dzieci dookoła głodują, a wy mnie będziecie jesiotrem raczyć!

Nie chciał też Lenin, by z racji jego stanowiska przysługiwały mu jakieś szczególne przywileje. Wspomina Nadieżda Konstantynowna: „Iljicz strasznie się denerwował, kiedy chciano mu ułatwić warunki życia, płacić dużą pensję itd. Pamiętam, jak rozzłościł się, kiedy ówczesny komendant Kremla, tow. Malkow, przyniósł mu jakieś wiadro chałwy."

23 maja 1918 r. Iljicz pisze do W.D. Boncz-Brujewicza:

„Do Kierownika Biura Rady Komisarzy Ludowych Włodzimierza Dymitrijewicza Boncz-Brujewicza.

W związku z niewykonaniem przez Was mego kategorycznego żądania, by wskazać mi podstawy podwyższenia mego uposażenia od 1 marca 1918 r. z 500 do 800 rb. miesięcznie oraz wobec oczywistej bezprawności tego podwyższenia dokonanego przez Was samowolnie w porozumieniu z sekretarzem Rady Mikołajem Piotrowiczem Gorbunowem... – udzielam Wam surowej nagany.

Przewodniczący
Rady Komisarzy Ludowych
W. Uljanow (*Lenin*)"

CIĄG DALSZY NA STR. 4

Rys. **Mikołaj Żukow**

Tak się prezentuje pokład „Daru Pomorza" z wysokości salingu

CZYTELNICY ŚWIATA MŁODYCH BUDUJĄ DAR MŁODZIEŻY

PIERWSZY MORSKI

– Jak ktoś zwiedza „Dar" – mówi Jurek – i pokażą mu salonik kapitański, kabinę nawigacyjną, pomieszczenia załogi, to wydaje się takie ciekawe. Ale praktykant na „Darze" ma naprawdę ciężko. Na przykład gdy oficer skończy wachtę, to może robić co chce, a praktykant nieraz usłyszy: „wprawdzie macie czas wolny, ale zajmijcie się tym czy tamtym." Nazwaliśmy to „czasem wolnym urojonym."

Jurek Fus i Jarek Skowronek chodzą do tej samej klasy Technikum Elektrycznego w Wejherowie. Rok temu zakwalifikowali się na rejs „Daru Pomorza" (Miejsc dla harcerzy z całej Polski było tylko 30. Liczyły się: zgoda szkoły, co najmniej stopień żeglarza jachtowego i praca w harcerstwie.) Obaj od 4 lat działają w harcerskim oddziale WOPR-u, m. in. współorganizują w Pucku obozy szkoleniowe dla ratowników.

W sumie w rejsie brało udział 110 osób; ponad połowę stanowili odbywający praktykę uczniowie Liceum Zawodowego z Gdańska. Pozostali to: telewizyjne „Bractwo Żelaznej Szekli" i grupa harcerzy.

– Dwa lata temu, w pierwszym tego typu rejsie, wachta harcerska wypadła najlepiej – opowiada Jarek. – Szkoda, że na naszym rejsie wachty były mieszane.

Przyszli na „Dar" nieco wystraszeni (normalnie przecież pływają na nim tylko studenci Wyższej Szkoły Morskiej). Podzielili ich na wachty. Każdy dostał szafkę i numer. Dziwili się – takie malutkie szafki, co w nich zmieścić? Tylko trochę najpotrzebniejszego ubrania, a reszta w worek i do hamakowni. Wieczorem kolejne emocje – rozwieszanie hamaków. Jeden przy drugim, bo z miejscem krucho. Gdy jeden się zakołysze, to zaraz wszystkie się chwieją. A rano – hamaki trzeba porządnie zwinąć, wynieść na pokład do sprawdzenia, i jeśli wszystko jest jak trzeba – umieścić w hamakowni. I tak codziennie. Podobnie jak podwieszanie stołów i ław po każdym posiłku.

Pierwszy dzień upłynął rozrywkowo – trwały jeszcze eliminacje w grupie Żelaznej Szekli; ale od następnego zaczęły się zajęcia.

– Kazali mi malować gelandry – wspomina Jurek – koledzy zobaczyli, że niosę puszkę z farbą, pytają:

– Co będziesz robił?

– Malował gelandry.

– A co to jest?

– Nie wiem, jak pomaluję, to się dowiem. (Gelandry okazały się pionowymi metalowymi słupkami mocującymi reling do pokładu tuż przy burcie.

Przez dwa tygodnie jacht stał w porcie, a oni skrobali, malowali, zakładali takielunek.

– Jak się pracuje – mówi Jarek – to przy okazji lepiej statek się poznaje, oswaja z nim. Najprzyjemniejsze było zakładanie olinowania, człowiek „pobiegał" sobie trochę po tych masztach.

Mijały dni – zwyczajne. 6.30 pobudka. Pięć minut na zwinięcie hamaków i wyjście z nimi na pokład. Każda wachta miała swój maszt – po pobudce trzeba było wdrapać się po wantach (początkowo przez mars – bagatelka 15 metrów nad pokładem, a później przez saling ok. 30 metrów nad pokładem). Drabinki pod różnymi kątami. Nie masz czasu spojrzeć w dół, bo z dołu cię poganiają, a ci wyżej mogą nadepnąć na rękę. Początek kwietnia nie był najcieplejszy, ręce marzły w dotknięciu z metalowymi częściami, ale – wiadomo – rękawiczek nie możesz założyć.

Po tej porannej gimnastyce sprzątanie, toaleta i o 7.30 śniadanie. Dwie wachty pracują, a jedna ma szkolenie, poznaje statek, uczy się manewrowania żaglami. Obiad, dwie kolacje i nareszcie trochę czasu wolnego do 22.00. I wtedy okazuje się, że jest to ten „urojony"... Jeszcze było codzienne, rytualne, obieranie ziemniaków.

Niektórzy narzekali, co to za rejs, niby miesięczny, a już dwa tygodnie stoją w porcie. Potem przekonali się, że to wszystko było potrzebne.

Wreszcie wyszli w morze.

– Przedtem – wspominają moi rozmówcy – pływaliśmy tylko po zatoce. To był nasz pierwszy morski rejs. Znajomość żeglarstwa zatokowego nie wystarczała. Inne jest manewrowanie na „Darze". Na przykład, właściwie nie chodzi on ostro na wiatr. Za to zwrot przez rufę jest łatwiejszy.

Płynęli początkowo, niestety, na silniku. Pogoda była zupełnie bezwietrzna, jak mówią wtajemniczeni – flauta. Nie mogli się doczekać, kiedy postawią żagle. Jednego dnia wysłali nawet delegację do kapitana, by się zgodził...

– Byliśmy pod szwedzkim brzegiem – opowiada Jurek – spytali nas czy chcemy zrzucić żagle i popłynąć na silniku, czy mieć alarm w nocy. Akurat nasza wachta miała służbę, więc najgłośniej krzyczymy, że oczywiście alarm! Ta noc nie była najlżejsza. Budzili nas kilka razy, coraz to trzeba było przebrasowywać żagle, to na jedną, to na drugą stronę. Spaliśmy wszystkiego trzy, czy cztery godziny. Potem jak człowiek usiadł pod schodami, na międzypokładziu, to momentalnie zasypiał. Ja siedziałem w maszynowni, tam jest przecież potworny hałas, i też usnąłem.

Stawianie żagli – ich największe marzenie – nieraz wyglądało śmiesznie. Padała komenda i... wszyscy łapali za jedną linę; niektórzy próbowali ciągnąć te umocowane na stałe. Normalnie załoga stawia żagle w ciągu 6 minut, w ich wykonaniu trwało to 45 minut. Stopniowo nabierali wprawy.

Po trzech dniach – ląd. Warnemünde w NRD. A tam wielka pompa, orkiestra wita „wilków morskich", spotkanie ze studentami morskiej szkoły inżynieryjnej.

– Było sporo chętnych do zwiedzania jachtu. Oni oglądali, a my czyściliśmy wszystkie mosiężne części – wspomina Jarek. – Niektórzy brali od nas szmatki i pucowaliśmy wspólnie. Ktoś przyniósł gitarę.

Zwiedzali Warnemünde i Rostock. Trzy dni minęły jak z bicza strzelił. I znów Bałtyk...

– Jednego dnia – ciągnie opowieść Jarek – była taka mgła, że gdy weszliśmy na maszt, to nie było widać pokładu. Cały czas syrena dawała sygnał. Syrena „Daru" tak ładnie brzmi. Kiedy się poprawiła widoczność mijał nas „Chełm" – wymieniliśmy pozdrowienia.

Wnocy doszedł ich dziwny zapach... Co to jest?! Jeden nie wytrzymał, pobiegł śladem. Patrzy, a na pokładzie, przed kuchnią leżą równiutko ułożone bochenki – prosto z pieca. Pachniało na całym statku.

Dobrze było mieć nocną wachtę w nawigacyjnej. Oficer co pół godziny wykreślał pozycję statku, można było trochę się nauczyć, zobaczyć jak się bierze namiary na latarnie morskie. Za to na wachtę przy sterze zakładali wszystkie ubrania. Mimo to ziąb przenikał do szpiku kości. W drodze powrotnej więcej szli na żaglach, ale porządnie rozwiało się dopiero wtedy, gdy stanęli na redzie w Gdyni...

Od rejsu upłynęło już sporo czasu. Jurek z Jarkiem żałują, że nie będą mogli płynąć w tym roku, cóż – przed nimi gorący maturalny okres. Mnie poinformowano w CWMiW w Gdyni, że w tegorocznym rejsie weźmie udział ok. 20 harcerzy. Popłyną w maju.

ANNA PACIOREK

Tak właśnie wygląda wspinaczka po wantach. Na wysokości 15 metrów umieszczony jest malutki pomost zwany marsem. Piętnaście metrów wyżej – drugi pomościk zwany salingiem. Dostać się na nie można ze sznurowych drabinek podciągając się na rękach

Fot. **Wiesława Mroczek**

Przed 110 rocznicą urodzin

PROSTY, JAK PRAWDA

CIĄG DALSZY ZE STR. 3

SIGNOR DRIŃ-DRIŃ I WODA NA GŁOWĘ

Gorki pisał o Leninie, że *„górując tak bardzo nad ludźmi – umiał pozostać głuchym na podszepty pychy."* Włodzimierz Iljicz odwiedził Gorkiego, jeszcze przed rewolucją, we Włoszech na Capri. „Miał w sobie jakąś siłę magnetyczną – pisze Gorki – która mu zjednywała serca i sympatie ludzi pracy. Nie mówił po włosku, ale rybacy na Capri, którzy widzieli Szaliapina i niemało innych wybitnych Rosjan, od razu jakimś instynktem wyznaczyli Leninowi szczególne miejsce. Czarujący był jego śmiech – „serdeczny", szczery śmiech człowieka, który, doskonale widząc niedołęstwo głupoty ludzkiej i akrobatyczne chwyty rozumu, umiał radować się dziecięcą naiwnością „ludzi prostego serca".

Stary rybak Giovanni Spadaro mówił o nim:

– Tak śmiać się może tylko człowiek prawy.

Kołysząc się w łódce na modrej i przezroczystej, jak niebo, tafli wodnej, Lenin uczył się łowić ryby „z palca" – linką, bez wędziska. Rybacy uczyli go, że trzeba „podciąć" rybę, kiedy tylko palec poczuje, że linka drży:

– Cosi: driń-driń. Capisci? (Tak: driń-driń. Rozumiesz?)

On „podciął" rybę, pociągnął do góry i z pełną zachwytu radością dziecka, z pasją myśliwego, zawołał:

– Aha! Driń-driń!

Rybacy wybuchnęli ogłuszającym radosnym śmiechem, też jak dzieci; przezwali oni Lenina „signor Driń-driń".

Lenin wyjechał, a oni wciąż się dopytywali:

– Jak tam signor Driń-driń? Car go nie złapie, co? Potem – już za władzy radzieckiej, Lenin nieraz opowiadał o swoich połowach ryb na Capri. Wspominał też inną śmieszną historię, która wprawiła go w doskonały humor. Opisał to zdarzenie Iwan Milutin, który na Kremlu blisko współpracował z Iljiczem i widywał go prawie codziennie. Milutin kiedyś wszedł do sekretariatu Lenina i w tym momencie usłyszał z gabinetu niezwykle głośny śmiech Włodzimierza Iljicza. Po chwili niczym pocisk wybiegła stamtąd Natasza Lepieszyńska, pracownica sekretariatu. Była cała w pąsach, ledwie nie płakała. Po wielu prośbach opowiedziała, co zaszło w gabinecie.

Otóż w owym czasie rzeźbiarz Altman lepił z gliny głowę Lenina. Za zgodą Włodzimierza Iljicza rzeźbiarz pracował w jego gabinecie, pod warunkiem jednak, że nie będzie go odrywać od pracy. W przerwach rzeźba była zakryta mokrą płachtą, ażeby glina się nie zeschła i dała modelować.

Wychodząc Altman poprosił Włodzimierza Iljicza, aby wieczorem zwilżył płachtę. Lenin poprosił Nataszę o przyniesienie imbryka z zimną wodą, sam zaś, siedząc przy biurku, pogrążył się w pracy. Natasza przyniosła wodę. Włodzimierz Iljicz odrywając się od pracy powiedział:

– Wylejcie, proszę, na moją głowę.

Zmieszana, nie rozumiejąc o co chodzi, Natasza podchodzi bojaźliwie z imbrykiem w ręku do Lenina. Staje z tyłu i zatrzymuje się, nie mogąc się zdecydować: lać czy nie lać?

Włodzimierz Iljicz odwraca się, ze zdziwieniem patrzy na Nataszę, wybucha serdecznym śmiechem i wskazując na rzeźbę mówi:

– Ależ nie na tę, na tamtą głowę...

Lenin był niezwykle punktualny. Jeśli ktokolwiek spóźniał się choć kilka minut, Iljicz zawsze robił mu wymówkę z powodu spóźnienia, często, co prawda w żartobliwy sposób. Na przykład spoglądał na zegarek i mówił „– Mój zegarek chyba się śpieszy, trzeba sprawdzić. Która u was godzina?" I „delikwent" czuł się wtedy jak niepyszny.

„ZDOBYĆ ZABAWKI (7 LAT)"

W leningradzkiej filii Centralnego Muzeum W.I. Lenina, wśród innych – ważnych i ciekawych – eksponatów leżą dwa skromne, widać, że często używane, pudła z dziecięcymi klockami. Na jednym rosyjski napis „Nowa gra architektoniczna", na drugim – „Abisyńska skrzynka budowlana".

Skąd tu takie eksponaty? To podarunek Lenina dla Ero, synka fińskiego komunisty Gustava Rovio. Lenin mieszkał kiedyś – tuż przed rewolucją w 1917 roku – u Rovio w Helsinkach. Spotkali się później w 1921 roku – na III kongresie Kominternu. Lenin, jak to było w jego zwyczaju, wypytywał Gustava o jego rodzinę. Bardzo się zmartwił, że niedawno umarła jego żona, że siedmioletni Ero pozostał bez matki i strasznie to przeżywa. Włodzimierz Iljicz, przygotowując swe wystąpienie na kongresie – napisał dla pamięci obok ważnych politycznych myśli: „NB. *Rovio (Piter). Zdobyć zabawki (7 lat).*" Ten zapis figuruje w pełnym wydaniu radzieckim dzieł Lenina w 44 tomie na str. 448.

W roku 1930, kiedy w celach muzealnych radzieckie Muzeum Rewolucji zbierało w Finlandii rzeczy związane z Leninem – Gustav Rovio przekazał obie zabawki radzieckiemu przedstawicielowi. Kiedy patrzy się teraz na te skromne, powycierane klocki, to w porównaniu z innymi eksponatami nie są one przecież tak ważne dla historii. Świadczą jednak dobitniej, niż wszelkie pisane dokumenty o prostym sercu Lenina, o jego umiłowaniu dzieci, o nieustannym dążeniu do ich lepszej przyszłości.

Oprac. **JAN STYKOWSKI**

TAJEMNICA „CZARNE

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Nacisnąłem dzwonek. Drzwi otworzyła mi uśmiechnięta pani. Zaaferowany czekającym mnie spotkaniem, wyjąkałem powód swojego przybycia.

– Wiem, wiem. Umówił się pan z moim mężem. Właśnie przed chwilą zszedł na dół i zaraz wróci. Proszę wejść, proszę.

W tym momencie uświadomiłem sobie, że na schodach minął mnie jakiś człowiek. Nie dostrzegłem nawet jego figury, tylko... pantofle. Czyżby ich właściciel był „Czarną Maską"? Tak, to właśnie był On.

Walka Dawida z Goliatem

Do murowanego Cyrku Braci Staniewskich, przy ulicy Ordynackiej, waliły tłumy. Nie, nie przybył tu na gościnne występy żaden światowej sławy akrobata, żongler ani iluzjonista. Warszawiaków przyciągał olbrzymi napis nad wejściem, głoszący wszem i wobec, że to właśnie dziś dojdzie do oczekiwanej sensacji – odkrycia tajemnicy „Czarnej Maski". A miał tego dokonać dwumetrowy olbrzym, istna góra kości i mięśni, zawodowy zapaśnik Kornacki. Mógł to jednak uczynić tylko wtedy, jeśli pokona tajemniczego rywala.

Rozgorączkowani wiszącą w powietrzu sensacją widzowie podejmowali wysokie zakłady, oceniali szanse obu zapaśników. Oczywiście, większość widzów nie dawała zbyt wielu szans „Czarnej Masce", choćby z tego względu, że lżejszy był od Kornackiego o ponad czterdzieści kilogramów! Miała więc to być walka Dawida z Goliatem. Byli jednak i tacy, którzy wierzyli w spryt Dawida, czyli „Czarnej Maski".

Nagle na trybunach zapanowała absolutna cisza. Na arenę wtoczył się Kornacki prezentując publiczności swoje ogromne ciało i potężne bicepsy. Rozległy się pierwsze takty „Marsza gladiatorów", sygnału rozpoczęcia walki. Gdzież jest „Czarna Maska!!? Czyżby stchórzył?! Ależ nie! Oto utworzonym przez stłoczonych w wejściu widzów szpalerem kroczy majestatycznie, przybrany w strój zapaśniczy, z naciągniętą na głowę czarną pończochą i narzuconym na ramiona barwnym płaszczem gladiatora. Skłonił się publiczności i powitał rywala. „Wspaniały chłopak, ale gdzież mu do Kornackiego. Rozniesie go, połamie mu żebra" – rozległy się głosy na trybunach.

Wiedział o tym „Czarna Maska", że nie może pozwolić na to, aby Kornacki chwycił go w swoje żelazne łapy, bo wtedy mógłby mieć kłopoty. Tańczył więc wokół Goliata, markował chwyty, nękał z doskoków i wyślizgiwał się spod jego rąk, jak wąż. Kornacki sapał, pocił się, stosował coraz to nowe sztuczki, znane tylko zawodowcom. A „Czarna Maska" zawodowcem przecież nie był. Pot lał się z Kornackiego strumieniami, a rywal ciągle stał na nogach. To już przecież dziesiąta minuta walki, a sprężysty jak guma „Czarna Maska" ciągle tańczył wokół niego, jakby sobie drwił z jego siły i ciężaru ciała. Ba, coraz śmielej atakuje! Wreszcie minuta przerwy...

Cyrk Staniewskich i chłopak ze Szmulek

Cyrk Braci Staniewskich cieszył się ogromną popularnością wśród mieszkańców ówczesnej Warszawy. Przedtem należał do Włoszki, Wilhelminy Ciniselli, która w 1889 roku zamieniła wędrowny cyrk w obiekt murowany, właśnie przy ul. Ordynackiej. Od rodziny Cinisellich przejął go Stanisław Mroczkowski. Ale dopiero Bracia Staniewscy uczynili zeń miejsce, w którym spotykali się na macie najsłynniejsi zapaśnicy.

W cyrku toczyli boje tacy zapaśnicy, jak: Teodor Szteker, Władysław i Stanisław Cyganiewiczowie, Władysław Maksymiak, Adam Pinecki, Aleksander Garkowienko, słynny Włoch Oliviera, Jerzy Puciata i Władysław Pytlasiński. Tu właśnie, na Ordynackiej, pokonał on warszawskiego kowala o sile tura, Antoniego Woźniaka. Występy Pytlasińskiego w cyrku stały się zaczątkiem późniejszych jego sukcesów. U Staniewskich Pytlasiński, w walce ze Szwajcarem Adrianem Balissatem, po raz pierwszy zademonstrowali warszawskiej publiczności zapasy w stylu grecko-rzymskim, czyli klasycznym.

Najlepsi polscy zapaśnicy szukali jednak możliwości startów na arenach poza granicami kraju. Tam bowiem rozgrywano wiele turniejów najwyższej rangi, z mistrzostwami świata włącznie. Na warszawskiej arenie zaczęli się więc pojawiać zapaśnicy mniej sławni. I wtedy u Staniewskich zjawił się zapaśnik występujący incognito – w czarnej pończosze na głowie. Ten tajemniczy zapaśnik ma dziś 70 lat i doskonale pamięta najdrobniejsze szczegóły tamtych czasów.

– *Sport lubiłem od najmłodszych lat. Uprawiałem różne jego dyscypliny. Byłem jednak wielkim kibicem zapasów i stałym bywalcem na cyrkowej galeryjce. Bilet na galeryjkę kosztował 50 groszy, na dole – 5 złotych. Na owe czasy była to suma pokaźna i nie na moją chłopięcą kieszeń. W cyrku występowali zawodowcy. Podziwiałem ich i zazdrościłem, że ja nie mogę się z nimi mierzyć. Ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, że mogę uprawiać zapasy amatorskie.*

Poznał je nieco później, na macie rozłożonej na... wiślańskiej plaży, u Braci Kozłowskich. To właśnie Pytlasiński prowadził szkółkę dla chłopców i organizował pokazowe walki. Oczywiście, dla popularyzacji tego sportu. Wybrał się tam chłopak ze Szmulek i... uległ namowom kolegów. Stanął do walki z nieznanym sobie zawodnikiem. Chojracka dusza i ambicja dufnego w swoją siłę osiłka, nie pozwoliły mu wycofać się w porę z niefortunnej decyzji. Podjął walkę i przegrał. Zawziął się jednak i stawił czoła kolejnemu rywalowi. I ten, choć wyglądał jak chuchro, nie oszczędził wstydu przyszłej „Czarnej Masce".

– *W tamtych czasach sport uprawiało się dla przyjemności, no i... dla zaimponowania dziewczętom. Narobiłem sobie na tej plaży wstydu, ale po tej lekcji zapisałem się do prowadzonego przez Pytlańsińskie-*

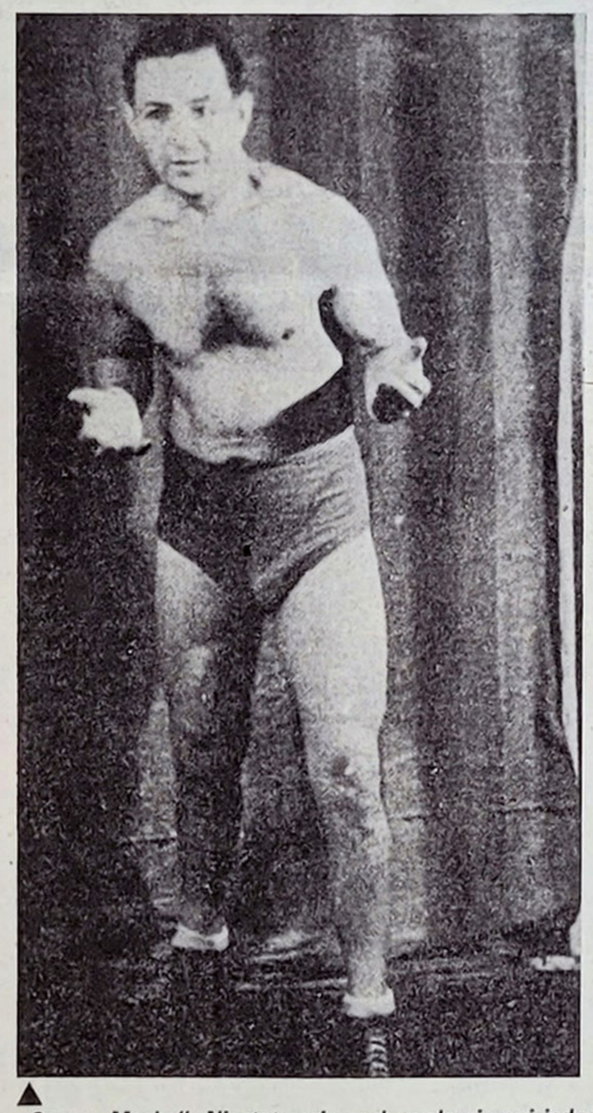

„Czarna Maska". Niestety, nie zachowało się ani jedno zdjęcie w oryginalnym stroju gladiatora

Grudzień 1932 r. Zapaśnicy „Legii" przed meczem z reprezentacją klubu „Świt". Czwarty od prawej stoi „Czarna Maska"

Tajemniczy zapaśnik z Cyrku Staniewskich jest dziś prezesem Klubu Seniora i nadal aktywnym propagatorem zapaśnictwa (drugi z lewej). Moment wręczania dyplomu uznania byłemu mistrzowi Polski w zapasach, Witalisowi Książkiewiczowi. Dyplom wręcza pierwszy prezes Polskiego Związku Zapaśniczego, Eugeniusz Chotomski. Obok stoi Andrzej Ostrowski

Najsłynniejsi nawet zapaśnicy występowali w zawodach pokazowych. Na zdjęciu: pierwsze w wyzwolonej Warszawie zawody pokazowe, przeprowadzone 3 maja 1945 r. na stadionie AZS w Parku Skaryszewskim

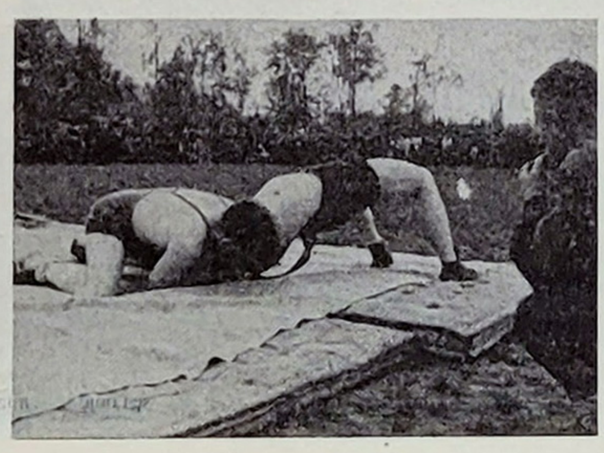

▲ *Dzieci lepią gliniane figurki bożka*

Zobaczyłeś księżyc –a więc jutro daj się obrazić

BARBARA WIKTOROWICZ pisze Z INDII

Poczesne miejsce na indyjskim Olimpie zajmuje słoniogłowy bóg Genesi. Często książki w Indiach zaczynają się od dobrowróżbnej formuły: Sri-Ganesiaja namah – „pokłon Pani Ganesi" – gdyż jest on patronem literatury i oświaty. Jest również „Panem przeszkód", do którego śle się modlitwy przed podjęciem jakiegokolwiek przedsięwzięcia, aby usunął z drogi wszelkie przeszkody. Czcią otaczają go także wędrowcy i podróżnicy. Genesi – bóg radości ziemskich – symbolizuje mądrość, roztropność, siłę, darząc szczególną opieką uczonych.

Istnieje wiele różnych mitów o narodzeniu się tego boga o głowie słonia z jednym kłem odłamanym oraz tłustym brzuchem. Rodzicami jego są Siwa i bogini Parwati, która ulepiła go z proszku kurkumy i olejków używanych do namaszczania ciała. Aby nadać mu życie pokropiła go wodą ze świętej rzeki Ganges. Następnie pozostawiła go przed łazienką, aby pilnował wejścia. Nieoczekiwanie nadszedł Siwa, który nic nie wiedząc o narodzeniu syna, zaatakował intruza broniącego mu wejść do łazienki żony. W wywiązanej walce Siwa odciął głowę Genesi. Gdy wyszła Parwati i zobaczyła co się stało zaczęła lamentować i płakać. Bóg-ojciec zrozumiawszy swoją pomyłkę i chcąc ją naprawić rozkazał, aby mu szybko przyniesiono inną głowę. I była to właśnie głowa słonia.

W pierwszą noc pełni po narodzeniu Ganesi zobaczył go Księżyc. Roześmiał się głośno i tak długo śmiał się z boskiego syna, że przez cały rok zapomniał zachodzić. Zdenerwował się w końcu dobrotliwy bóg, chwycił mocno swój prawy kieł, złamał go i z całych sił rzucił nim w spasiony Księżyc. Księżyc szybko umknął. Tak więc po dziś dzień Ganesi jest bez prawego kła.

Bóg z głową słonia czczony jest przez większość wyznawców hinduizmu. Popularność jego widoczna jest szczególnie w czasie święta Ganesi – Chaturthi, które odbywa się na przełomie sierpnia i września. Największe uroczystości mają miejsce w Indiach Południowych. Sprzed wejścia do świątyni wyrusza procesja, na jej czele jedzie wóz-platforma. Na nim znajduje się figurka Ganesi siedzącego na swym boskim wierzchowcu – na szczurze. Święte zwierzę, wykonane często ze srebra, dźwiga swojego pana spowitego w wieńce splecione z wonnych kwiatów. Przed wozem wolno posuwa się grupka mężczyzn grających na trąbkach, bębnach, cymbałkach. Całej procesji towarzyszy hałas, iluminacje świetlne, nierzadko sztuczne ognie. Wóz z boską figurą zatrzymuje się przed wejściem do domów. Tutaj na małym stołku czeka niewielka tacka wypełniona bananami, orzechami kokosowymi, proszkiem świętym. Obrzęd otwiera rozbicie orzecha kokosowego na znak szczęścia. Następnie bramin trzymając w ręku mały lichtarzyk z ogniem prosi Ganesi o błogosławieństwo dla domu i jego mieszkańców.

W czasie trwania święta, w pobliżu świątyni, wykonywane są małe gliniane figurki Ganesi, które na drewnianych deseczkach, wymalowanych obrzędowymi znakami zanoszone są przez dzieci do domów. Pod koniec obrzędów ostatnia procesja prowadzi do rzeki, nad morze lub do innego zbiornika wodnego. Tym razem oprócz dużej figury boga znajdującej się na wozie, a mającej nieraz wysokość ośmiu metrów, idą wyznawcy hinduizmu niosąc małe gliniane posążki pięknie ozdobione kwiatami. Na brzegu delikatnie zaczynają zatapiać dużą figurę oraz małe posążki. Po zatopieniu Ganesi zabierają z brzegu garść gliny lub piasku i po powrocie do domów ceremonialnie rzucają je do zbiorników zboża. Ma to zapewnić dobre plony.

Wyznawcy Ganesi wierzą, że jeśli w dniu święta zobaczą Księżyc – przepowiada to tragedię lub zniesławienie. Aby uniknąć złej wróżby trzeba następnego dnia dać się obrazić. A więc kto zobaczył Księżyc, rankiem następnego dnia prowokuje sąsiadów, aby odwrócić od siebie złą wróżbę. Fot. **autorki**

Figurę Ganesi spowijają wieńce pachnących odurzających kwiatów

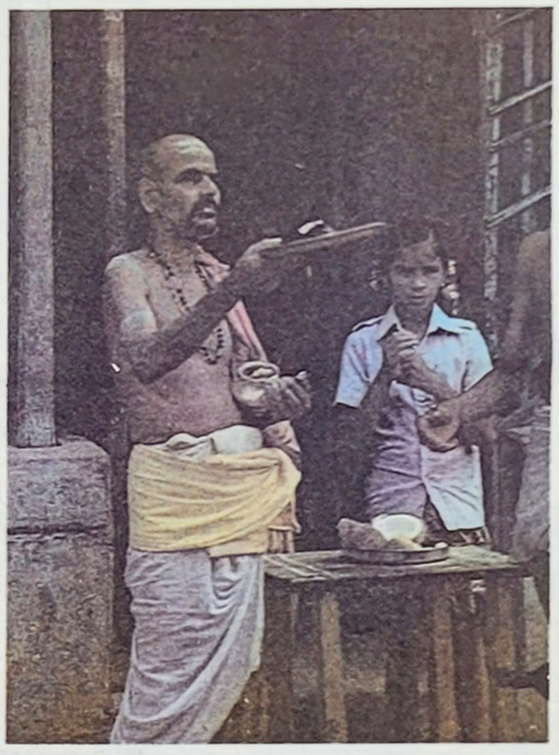

Wyznawcy Ganesi czynią magiczne znaki nad ogniem aby uzyskać pomyślne wróżby dla swojego domostwa

EJ MASKI"

go klubu Polskiego Towarzystwa Atletycznego. Nie upłynęło wiele czasu i znalazłem się wśród czołówki zapaśników-amatorów. Występowałem w wadze średniej i półciężkiej.

Polskie zapaśnictwo amatorskie nie miało jednak zbyt wielu możliwości mierzenia się ze sławnymi zapaśnikami. Polacy odnosili sukcesy, ale w walkach zawodowców, z którymi amatorom nie wolno było się mierzyć. Korciło go jednak, aby stanąć na cyrkowej arenie i pokazać, że nie jest gorszy.

– Był taki zwyczaj u Staniewskich, że występujący w cyrku zawodowcy, wyzywali na matę najodważniejszych z trybun. Ale ta droga nie odpowiadała mi, byłem przecież amatorem. Publiczne zmierzenie się z zawodowcem zakończyłoby się dla mnie dyskwalifikacją. Wybrałem inną drogę...

I właśnie wtedy na cyrkowej arenie pojawił się zapaśnik ukrywający się pod czarną pończochą. Naciągał ją zwykle tuż przed walką, w budce u znajomego dozorcy. Pierwsze takty „Marsza gladiatorów" były dla niego sygnałem do wyjścia na arenę.

– Moim pierwszym rywalem był czarnoskóry Siki z Kenii. Przyjąłem jego wyzwanie, bo wydawał mi się niezbyt groźny. „Męczyłem" się z nim zaledwie sześć minut. Nikt nie wiedział kim jestem i skąd przybyłem. Intrygowało to widzów. Były na mój temat różne domysły, zaczęły krążyć różne legendy. Imponowało mi to i nie ujawniałem się. Utarła się bowiem niepisana umowa, że maskę może mi zerwać tylko mój pogromca.

Od tego występu, przed każdym turniejem u Staniewskich, pojawiał się olbrzymi napis: NA PEWNO DZISIAJ MASKA BĘDZIE ZERWANA! Nic więc dziwnego, że do cyrku waliły tłumy. Każdy chciał być świadkiem tej sensacji. Aż wreszcie doszło do spotkania z kolosem Kornackim...

Dawid poznał sztuczki Goliata

– O sztuczkach walczących w cyrku zawodowców wiedziałem już wiele, ale nie wiedziałem, na co stać Kornackiego. A nie mogłem się zbłaźnić. W liście powiadomiłem sędziów, że z powodów służbowych nie mogę stanąć na wyzwanie Kornackiego w wyznaczonym przez niego terminie. Zaproponowałem inny. Nikt mnie nie podejrzewał, że to ja jestem „Czarną Maską", mogłem więc spokojnie zasiąść na trybunach i obserwować walkę przyszłego rywala. Wtedy poznałem przynajmniej część jego sztuczek. Potrafił wiele.

W wyznaczonym przez „Czarną Maskę" terminie doszło do pojedynku, który już prześledziliśmy do dziesiątej minuty walki. Minuta przerwy się skończyła...

– Po przerwie skoczyliśmy do siebie. Jak poprzednio unikałem chwytów Kornackiego. I tak do ósmej minuty, kiedy to rozwścieczony bezskutecznością swoich ataków, niespodziewanie zerwał mi maskę. Zakryłem rękoma twarz i umknąłem do kasy. Na szczęście podniósł się taki tumult, że nikt mnie nie rozpoznał. Na Kornackiego poleciały z trybun pomidory, kartofle i co kto miał pod ręką. Publiczności nie spodobało się zachowanie Kornackiego. W międzyczasie przyniesiono mi drugą pończochę i wyszedłem na arenę dokończyć walkę. Kornacki poszedł na całego. Sądziłem, że w furii połamie mi kości, chwycił mnie w pół, ale ja wywinąłem się suplesem i w tym momencie nadział się na moją głowę. Padł na matę jak podcięty. Miał dosyć walki ze mną, a i ja z nim. Zeszliśmy z maty obaj niepokonani...

Czy znalazł się ktoś, kto zdobył prawo do zerwania maski tajemniczemu zapaśnikowi? Otóż Cyrk Staniewskich przeszedł do legendy, a człowiek – „Czarna Maska" pozostał nierozpoznany. Znali go tylko najbliżsi przyjaciele i rodzina. Korzystając z tego, że dziś nie muszę stawać na macie, aby w walce uzyskać prawo ujawnienia tajemnicy „Czarnej Maski" – czynię to teraz bezkarnie.

Tajemniczym zapaśnikiem, w Cyrku Staniewskich przez nikogo nie pokonanym, był pan **Władysław Koszewski**, dziś nestor polskiego zapaśnictwa, były zawodnik PTA, „Legii", „Orła" i „Skry", sędzia i działacz zapasów. To on w roku 1945 i jego koledzy, wskrzeszali warszawskie zapasy, w których startował jako zawodnik do 1950 roku. Pan Koszewski jest dziś prezesem Klubu Seniora, w którym krzewi się tradycje zapaśnictwa. O nim i o rodzie Koszewskich śpiewają dziś piosenki:

Jest na Szmulkach rodzina,
nasza praska – warszawska,
o niej właśnie dziś wspomnieć wypada.
Któż by nie znał na Pradze,
Władysława atletę,
„Czarną Maską" przez Szmulki nazwany,
Zapaśnicy fruwali w jego silnych ramionach
i kochały się w nim wszystkie panny.

Słowa i muzykę napisał Wojciech Mścichowski, z okazji organizowanej w Klubie MPiK „Praga" uroczystości rodziny Koszewskich p.n. „Saga rodu Koszewskich z ulicy Ząbkowskiej".

A pan Władysław działa jeszcze w Warszawskim i Polskim Związku Zapaśniczym, ale w jego głosie wyczułem nutkę żalu, że coś się w tym sporcie zmieniło, że już nie ma pokazowych walk na wiślańskich plażach, wiejskich podwórkach i szkolnych klasach. Ano, nie ma. Bo do sportu trzeba z sercem, jak „Czarna Maska"...

RYSZARD RATAJCZYK

Fot. z **prywatnego zbioru Władysława Koszewskiego**

Wkrótce powstaną

następne

RÓŻNICE TEMPERATUR WÓD OCEANICZNYCH NAPĘDZAJĄ ELEKTROWNIĘ

USA (PAI). Na Hawajach uruchomiono pierwszą doświadczalną elektrownię, wykorzystującą różnicę temperatur powierzchniowych i głębinowych wód oceanu. Została ona zbudowana na pływającej platformie przez dwie firmy Lockheed Corporation i Dillingham Company. Moc elektrowni wynosi 50 kW. Jedna trzecia wytwarzanej energii magazynowana jest do zasilania urządzeń pracujących na platformach. Substancją czynną jest para amoniaku, która w pierwszym etapie ogrzewana jest przez ciepłą wodę z powierzchni oceanu. Para ta napędza turbogenerator, a następnie schładzana jest w skraplaczu przez zimną wodę, pompowaną z głębokości 650 m. Planuje się budowę następnych tego typu obiektów o większej mocy. **(tok)**

REDAKCYJNA POCZTA

Stanowimy zgraną paczkę

Piszę, chociaż nie jestem nieszczęśliwy, ani samotny. Chciałbym jedynie podzielić się z innymi swoimi spostrzeżeniami oraz poradzić tym, którzy walczą z nieśmiałością. W VI klasie przyszedł do nas nowy uczeń – Krzysztof i właśnie jemu zawdzięczamy, że obecnie mamy taką klasę i że ja, chłopak nieśmiały, czuję się tu świetnie. Sam nie wiem jak do tego doszło. Nim zjawił się Krzysztof, w naszej klasie były dwa obozy: chłopców i dziewczyn. On zaimponował nam; dziewczynom zresztą również i coś się zmieniło... Rozpadły się nasze „wojownicze obozy". Teraz jesteśmy w VIII klasie. Stanowimy bardzo fajną paczkę. Ja raczej nie należę do tych, którzy lubią się zwierzać, ale w naszej klasie można rozmawiać o wszystkim, np. wczoraj na zbiórce powiedziałem, że niestety nie będę mógł sprzątać klasy, ponieważ umówiłem się z dziewczyną. Wywołało to śmiech, ale wiem, że nie złośliwy, tylko po prostu serdeczny. Jakaś dziewczyna zawołała: „Oj, Rafał, nie zaniedbuj nas". W szkole spędzam dużo czasu, bo ona leczy moją nieśmiałość. W klasie lubię wszystkich i o dziwo dostrzegłem, że mamy fajne dziewczyny. One również się zmieniły. Wiedzą, że jeżeli ktoraś z nich zapyta: „Kto mnie może odprowadzić?" – znajdą się chętni i że jeżeli będzie chodziła z chłopcem, w szkole nie będzie na ten temat plotek. Chłopcy zawsze mogą poradzić się dziewcząt np. co kupić na imieniny swojej sympatii. Kończę ósmą klasę i boję się iść do nowej szkoły. Często zadaję sobie pytanie, dlaczego nie byliśmy taką klasą dawniej? Czy zawinili nauczyciele, którzy za karę sadzali nas z dziewczynami? Nie wiem, może to był tylko sposób na uspokojenie 8-letniego uczniaka? Apeluję teraz do tych, którzy nie mogą w klasie stworzyć całości. Nie bądźcie śmieszni i już od dziś (chodzi o chłopców) zacznijcie przyjaźnić się z dziewczętami. Ja już wiem, że nie ma takiej, która nie chce naszej przyjaźni.

Rafał

Paweł Sidel, lat 16. Interesuje się sportem, muzyką rozrywkową, zbiera fotosy piosenkarzy i aktorów. Szuka korespondencyjnych przyjaciół. Państwowy Dom Dziecka ul. Wesoła 60 25-363 Kielce.

Od strony kowadła...

Piszę do Was w sprawie listu „Elżbiety", który zatytułowała: „Między młotem a kowadłem...". Otóż w ubiegłym roku przydarzyła się naszej nieznośnej – jak mówią nauczyciele – klasie taka właśnie historia. W czwartek – po dwóch lekcjach miał być śpiew, lecz nie było nauczyciela i postanowiliśmy prysnąć z czterech lekcji. Długo się zastanawialiśmy, bo pięć osób zrezygnowało z ucieczki tłumacząc, że nauczyciele mieliby do nich żal. Zostawiliśmy więc ich w klasie. I nagle pech – złapała nas pani dyrektor. Musieliśmy wrócić, a wszystko przez tę piątkę „lalusiów". Oczywiście na drugi dzień była pogawędka na ten temat z wychowawczynią. Na przerwach przezywaliśmy ich, ale później zapomnieliśmy o tych głupich chwilach. Myślę, że nie trzeba się na takich obrażać na długo.

„Ewa"

Poradźcie!

Mam 14 lat. Jestem brzydki, gdyż szpeci mnie przydługi nos, strasznie długie nogi, zaczątki trądzika między brwiami i wątła budowa. Poza tym muszę chodzić na spacery ze swoją smarkatą siostrą. Dziewczyny z tych powodów szydzą i nabijają się ze mnie. Dogryzają mi do żywego. Jedna ochrzciła mnie pająkiem, i tak mnie teraz nazywają. Przyznaję, że mnie to boli, ale staram się to ukrywać. Z nauką nie mam kłopotów. Ostatnio napisałem najlepszą pracę klasową z polskiego, co przysporzyło mi wiele przykrości od klasy. Nie lubię, by ktoś się nade mną litował i staram się udawać zarozumialca. Swój żal do klasy tuszuję ciągłym cynicznym uśmieszkiem na twarzy. Proszę Cię, Redakcjo, wydrukujcie mój list. Może czytelnicy poradzą mi w tych kłopotach, a i klasa zmieni swój stosunek do mnie...

Jacek B. z Warszawy

200 milionów płyt rocznie!

Radziecka firma „Melodia" znana jest na całym świecie, cieszy się i u nas zasłużoną popularnością. Zainteresuje Was zapewne fragment wywiadu z Pawłem Szabanowem, dyrektorem tego wielkiego przedsiębiorstwa zamieszczony w „Izwiestii"...

– Chciałbym przede wszystkim zapowiedzieć ukazanie się w tym roku cyklu nagrań z utworami kompozytorów bratnich krajów socjalistycznych m. in. Witolda Lutosławskiego. Na płytach „Melodii" nagranych zostało dotychczas 80 oper rosyjskich, radzieckich i klasyki światowej. Wiele z nich to nasze nowe nagrania, które obecnie opracowujemy w wersji stereofonicznej. Niewątpliwym rarytasem dla miłośników opery stanie się album z „Borysem Godunowem" według oryginalnej redakcji Musorgskiego. W ubiegłym roku zainicjowaliśmy cykl pod ogólną nazwą „Uniwersytet powszechny kultury muzycznej", którego celem jest przyciągnięcie do muzyki najszerszych rzesz ludności. Dobiega końca edycja „Dzieł wszystkich Piotra Czajkowskiego" (całość: 102 płyty), wybór utworów Sergiusza Prokofiewa (58 płyt) oraz Dymitra Szostakowicza (54 płyty). Wkrótce przystąpimy do edycji nowego wielkiego cyklu „Ze skarbnicy światowej sztuki interpretacyjnej", w którym zaprezentujemy najsłynniejszych dyregentów, pianistów, skrzypków, wiolonczelistów i wokalistów. Przy tych wielkich zadaniach nie zapominamy o muzyce rozrywkowej. Z tego zakresu wydajemy rocznie około 250 tytułów. Chciałbym dodać, że przygotowaliśmy specjalny zestaw płyt dla gości „Olimpiady 80". Ukazały się już 52 longplaye ze znakiem olimpijskim o łącznym nakładzie dwóch milionów egzemplarzy...

ELŻBIETA ADAMIAK:

Biorę gitarę i gram...

Śpiewa od lat pięciu. Ma swoją publiczność, nie tę sprzed telewizorów, wielkich sal koncertowych – publiczność młodą, klubową. Jej występy trudno nazwać koncertami. To raczej spotkania z gronem przyjaciół, tak jak i ona kochających poezję, szukających w wierszach prawdy o świecie i... sobie. ELŻBIETA ADAMIAK.

– Julian Przyboś powiedział kiedyś, że wierszy nie powinno się słuchaczom tłumaczyć. Czy nie uważasz, że dodawanie muzyki do wierszy jest taką próbą tłumaczenia ich słuchaczom?

– Nie wydaje mi się, ponieważ... Jeśli o mnie chodzi, to każda z piosenek pomogła mi jakoś w życiu. Kiedy było mi bardzo smutno i bardzo źle, szukałam przyjaciela; drugiego człowieka, któremu jest równie smutno i źle. Był nim na przykład Jerzy Harasymowicz z pierwszego okresu swojej twórczości. Przeczytałam jego wiersz, robiło mi się lepiej, natychmiast brałam gitarę, komponowałam muzykę i jeździłam po Polsce. Przyszedł smutek, sięgałam po gitarę, zaśpiewałam sobie i smutek mijał...

– Dlaczego zainteresowałaś się poezją Harasymowicza?

– Właśnie dlatego, że przypadkiem stwierdziłam, że jest to taki sam pan jak ja, i gdzieś daleko od ludzi przeżywa podobnie jak ja. Brakuje mu ludzi, a jednocześnie nie może do nich dojść...

– Jak starasz się przekładać język poezji na język muzyki?

– Dla mnie sposób jest jeden: biorę gitarę i gram...

– Czy zawsze śpiewałaś poezję?

– Tak. Najpierw śpiewałam lżejszą poezję, na przykład Asnyka – wiersze, które teraz już mi się nie podobają...

– Próbowałaś sama pisać wiersze?

– Pisałam coś, co do wierszy może być podobne, ale ponieważ uznałam je za bardzo słabe, schowałam do szuflady i leżą w niej do dziś. Prawdopodobnie nigdy nie ujrzą światła dziennego poza jednym pt. „Bajka o tym, jak noc wigilijna wychodziła za mąż"...

– Zawsze sięgasz po tomiki znanych poetów?

– Nie. Jeżdżąc po Polsce zbieram wiersze i wierszyki; nierzadko w maszynopisach, które jeśli mi się podobają zabieram ze sobą...

– Czy zgodzisz się ze mną, że nurt poezji śpiewanej to grupa rzeczywiście zdolnych wykonawców i potężny zastęp niedouczonych amatorów zdobywających laury na różnego rodzaju przeglądach i festiwalach tylko dlatego, że śpiewają wiersze Tuwima, Gałczyńskiego itd. itd.?

– Moje doświadczenia ograniczają się do dwóch spotkań w Olsztynie. Tam rzeczywiście spotkałam wielu ludzi w ogóle nie rozumiejących tego, co śpiewają, prezentujących muzykę nie przystającą do poezji. Kiedy słuchałam swoich ulubionych wierszy w ich interpretacji, przestawały mi się podobać. Są jednak ludzie odróżniający dobrą piosenkę poetycką od bardzo złej poezji śpiewanej...

– Dlaczego wy, przedstawiciele poezji śpiewanej, sięgacie tylko po smutne wiersze, czyżby do wesołych, radownych trudniej było skomponować muzykę?

– Powiedziałam już, że po wiersz sięgam tylko wtedy, kiedy jest mi źle. Bo jak mi radośnie, to mam ludzi dookoła, mam piosenki Czerwonych Gitar, które sobie z przyjemnością nucę i to mi wystarcza...

– Tonpress wydał Twoją płytę. Dodać trzeba – bardzo starannie. Słuchasz siebie czasem?

– Ależ skąd... Wolę występy w małych klubach, gdzie mam ludzi przed sobą, którym mogę coś powiedzieć...

Świat Muzyki
GAZETA MELOMANÓW

Redaguje
LECH NOWICKI

SUZI

Na prośbę wielu czytelników zamieszczamy zdjęcia SUZI QUATRO, która niedawno występowała w naszym kraju. Przypominamy, że Suzi urodziła się w roku 1950 w Detroit w muzykalnej rodzinie, że rozgłos, a potem popularność przyniosła jej płyta „Can the Can"...

Muz. **Marek Sewen**
Słowa: **Tadeusz Kubiak**

ZA-KWITŁY KA-CZEŃCE

Zakwitły na łące kaczeńce
zakwitły kaczeńce w piosence.
Piosenki wiatr rozwiał nad Wisłą
kaczeńce na łące wciąż kwitną.

Zbierajmy kaczeńce,
kaczeńców złocistość –
przynieśmy wiosenne
kaczeńce rodzicom (bis)

Zakwitły nad jarem, na górze
te dzikie czeremchy i róże
w naręczach czerwonych i białych,
jak gdyby słowiki śpiewały,

Zanieśmy naręcza
do domu, do szkoły,
niech będzie świat wszędzie
kwiecisty, wesoły (bis)

Zakwitły już maki czerwone
daleko na polu, za domem –
Nim wiatry rozwieją szumiące
zbierajmy te maki kwitnące.

Gdy z maków czerwone
bukiety zrobimy
zanieśmy na ciche
żołnierskie mogiły. (bis)

Zakwitły przy drogach rumianki,
zbierajmy rumianki na wianki,
Z przydrożnych i polnych rumianków
uwijmy, uplećmy sto wianków.

Rzucajmy te wianki
na Wisłę srebrzystą,
niech płyną te wianki
do ludzi; hen, Wisłą. (bis)

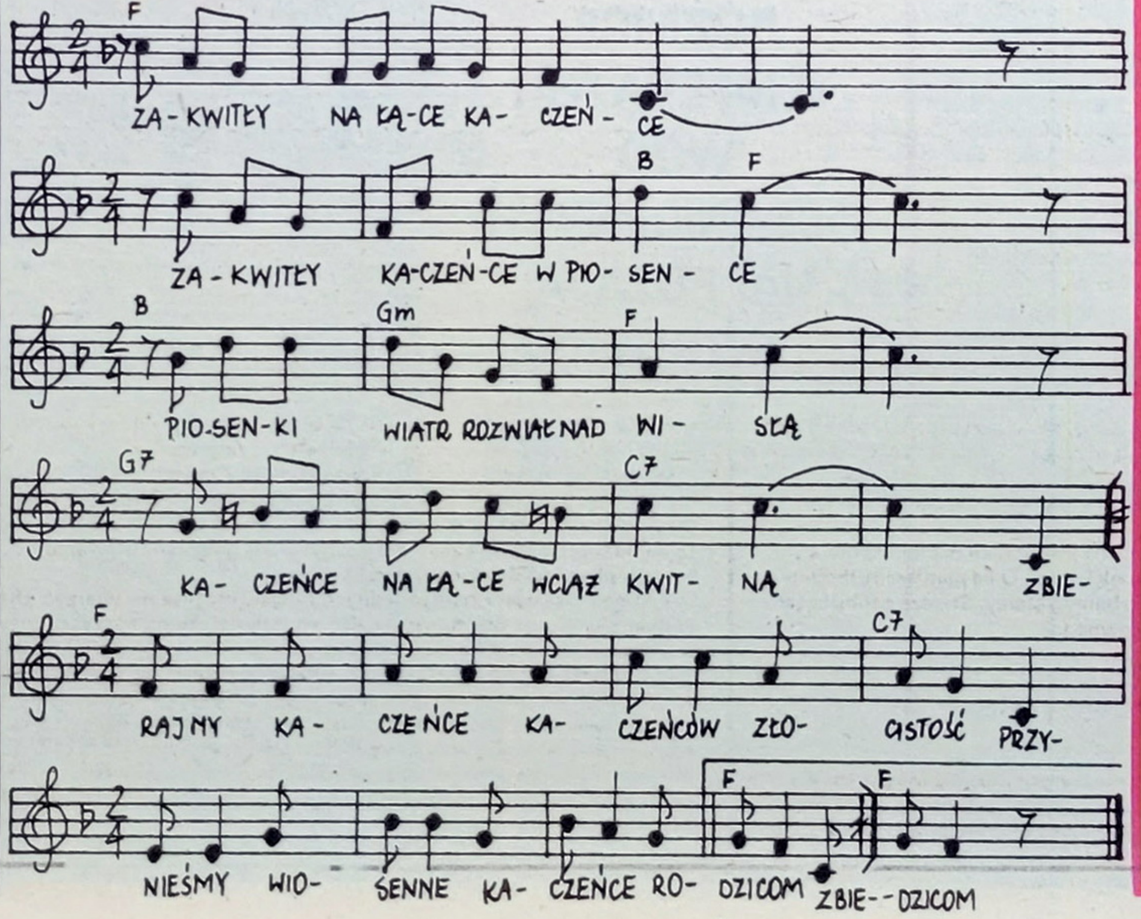

W koktajl-barze jest szatnia. Wisi nad nią napis – „obowiązkowa, płatna 1.– złoty". Odbieram z niej wczoraj kurtkę swoją i Jagody, bo Jagoda mi zdrzyła się w tym czasie do lustra. Na ulicy Jagoda mówi – jestem ci winna za szatnię, i daje mi dwa złote. To ja na to, że za dużo, że tylko złotówkę to kosztuje. A na to Jagoda, zdziwiona – no, chyba nie dałaś tylko złotówki?! Więc ja – że nie, że dałam oczywiście dwa złote, złotówkę za jej kurtkę i złotówkę za swoją. A Jagoda – no wiesz, nie dałaś żadnego napiwku, co sobie ta pani z szatni o nas pomyśli! I jeszcze, że nie przypuszczała, że jestem taka... dzika, że aż wstyd jej za mnie.

Hm, Jagoda to niby taka... cywilizowana, a w nosie dłubie jak jej się wydaje, że nikt nie widzi! Nie powiem, żebym się jej oburzeniem specjalnie przejęła – bo była oburzona autentycznie – ale w ogóle, to coś w tym jednak jest. No, że te napiwki się daje. Jak np. jedziemy czasami taksówką, to tata płaci zawsze więcej niż jest na liczniku, w kawiarni też więcej. Pewnie jak szatnia kosztuje złotówkę, to też daje co najmniej dwa. Nie wiem. Jagoda mówi, że minimum po dwa złote dać powinnam, a najlepiej za dwie kurtki – pięć. Że tego wymaga dobre wychowanie. Nigdy nie przyszło mi to do głowy. Muszę się spytać taty jak wróci, bo wyjechał służbowo.

Na razie pytałam się Ulki i Andrzeja, co o tym myślą. Ulka myśli, że to przesąd, bo jak jest cena, to ona obowiązuje, w sklepie np. nikt nie płaci za chleb, który kosztuje cztery złote – pięciu. Andrzej natomiast myśli, że rację ma Jagoda, bo chociaż nie jest to obowiązkowe, to w takich sytuacjach jak szatnia właśnie czy kawiarnia wypada dać napiwek. On zawsze daje. Jak ma pieniądze. Bo jak nie ma, to nie chodzi do kawiarni i nie korzysta z szatni. A jak ma, to przecież przez te kilka złotych nie zbiednieje.

Ja tam myślę, że wcale nie o zbiednienie czy niezbiednienie chodzi, ale tak w ogóle, to wcale nie jestem po dokonaniu tej mini-ankiety mądrzejsza. Bo skoro tak wypada... Tata daje napiwki, to wiem i to jest argument. Ale z drugiej strony argument Ulki jest też całkiem przekonywający. Skoro jest jakaś ustalona cena, to niby dlaczego mam płacić więcej. To ma być dowód dobrego wychowania?!

Ulka się śmieje, że też sobie problem wynalazłam, boki zrywać! A ja nie wiem. Bo z jednej strony, to głupio jest tak się od innych odróżniać, a z drugiej... Jagoda pewnie podejrzewa, że jestem okropnie skąpa. A przecież wcale nie jestem!

ANKA

CO DALEJ ÓSMA KLASO

ADRESY PORADNI WYCHOWAWCZO-ZAWODOWYCH

WARSZAWA

- Woj. Poradnia Wychow.-Zawod. – Nowowiejska 5, 00-643 Warszawa, tel. 25-51-01, 25-50-09
- Dzielnicowa Por. Wychow.-Zawod. – Lewartowskiego 2, Warszawa, tel. 31-64-93
- Dzielnicowa Por. Wychow.-Zawod. – Świętokrzyska 18a, 00-052 Warszawa, tel. 26-99-86
- Dzielnicowa Por. Wychow.-Zawod. – Polska 40, 00-635 Warszawa, tel. 25-18-15
- Dzielnicowa Por. Wychow.-Zawod. – Narbutta 65/71, 08-524 Warszawa, tel. 49-99-98, 49-98-03
- Dzielnicowa Por. Wychow.-Zawod. – Gagarina 17, 05-595 Warszawa, tel. 41-14-23
- Dzielnicowa Por. Wychow.-Zawod. – Ogrodowa 8, Warszawa, tel. 20-80-51, 20-25-40
- Dzielnicowa Por. Wychow.-Zawod. – Dobrogniewa 3a, 01-422 Warszawa, tel. 36-43-93
- Dzielnicowa Por. Wychow-Zawod. – Ożarowska 71, 01-408 Warszawa, 36-70-88
- Dzielnicowa Por. Wychow-Zawod. – Słowackiego 5/13, 01-592 Warszawa, tel. 33-03-71
- Dzielnicowa Por. Wychow.-Zawod. – Reymonta 25, 01-642 Warszawa, tel. 34-88-02
- Dzielnicowa Por. Wychow.-Zawod. – Jagiellońska 28, 83-719 Warszawa, tel. 19-01-94
- Dzielnicowa Por. Wychow.-Zawod. – Białołęcka 36, 03-348 Warszawa, tel. 11-29-96
- Dzielnicowa Por. Wychow.-Zawod. – Boremlowska 6/12, 04-173 Warszawa, tel. 10-29-86
- Dzielnicowa Por. Wychow.-Zawod. – Grochowska 302, 03-840 Warszawa, tel. 10-20-29
- Dzielnicowa Por. Wychow.-Zawod. – Patriotów 217, 04-858 Warszawa, tel. 12-73-29
- Dzielnicowa Por. Wychow.-Zawod. – Radomska 13/21, 02-365 Warszawa, tel. 22-28-87, 23-73-04
- Miejska Poradnia Wychow.-Zawod. – Bartniaka 14/20, 05-700 Grodzisk Maz., tel. 55-55-74
- Miejska Poradnia Wychow.-Zawod. – Grodzka 25, 05-510 Konstancin-Jeziorna, tel. 56-44-55
- Miejska Poradnia Wychow.-Zawod. – Zakopiańska 1, 05-120 Legionowo, tel. 74-29-94
- Miejska Poradnia Wychow.-Zawod. – Zakroczymska 30, 05-100 Nowy Dwór Maz., tel. 75-20–13
- Miejska Poradnia Wychow.-Zawod. – 22 Lipca 9, 05-400 Otwock, tel. 79-25-58
- Miejska Poradnia Wychow.-Zawod. – Kubusia Puchatka 8, 05-800 Pruszków, tel. 50-68-29
- Miejska Poradnia Wychow.-Zawod. – Bohaterów Warszawy 5, 05-810 Ursus, tel. 62-60-71 w. 390
- Miejska Poradnia Wychow.-Zawod. – Lipińska 16, 05-200 Wołomin, tel. 76-25-00

Zadanie premiowane nr 280

WIRÓWKA „CZY ZNASZ POLSKĘ"

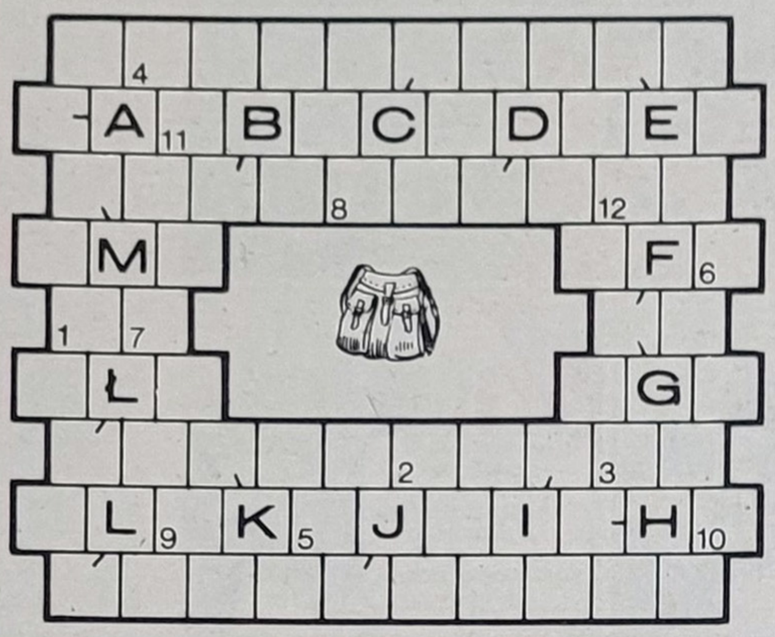

Odgadnij 6-literowe wyrazy i wpisz je prawoskrętnie do diagramu (początek wpisywania w polu oznaczonym kreską). Litery z ponumerowanych kratek, napisane w kolejności od 1 do 12, utworzą rozwiązanie – nazwę jednego z naszych miast. Rozwiązanie napisz na kartce pocztowej i prześlij w ciągu 7 dni od daty tego numeru pod adresem: „Świat Młodych", Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, „Zadanie premiowane nr 280".

Prawidłowe rozwiązania wezmą udział w losowaniu nagród.

PRAWOSKRĘTNIE: A) weź ze środka diagramu i... wyruszamy na wycieczkę, B) dzielnica Warszawy (lub chęć, zapał), C) w ich skład wchodzą m. in. Karkonosze, Rudawy Janowickie, Góry Stołowe, D) ... Zdrój – uzdrowisko między G. Stołowymi a G. Orlickimi, E) nazwa jeziora w Lasach Napiwodzkich lub rzeki (prawy dopływ Narwi) wypływającej z tego jeziora, F) kąpielisko nad Bałtykiem i Jeziorem Jamno, G) dzielnica Nowego Dworu Mazowieckiego, z twierdzą wybudowaną na polecenie Napoleona I, H) najdłuższy lewy dopływ Wisły, I) miasto w woj. tarnobrzeskim; założone przy dawnym szlaku handlowym wiodącym przez Sandomierz na Ruś, J) nie od razu go zbudowano, K) miasto nd Białą; miejsce urodzenia Józefa Bema, L) urodzajny obszar w delcie Wisły, Ł) najwyższy szczyt G. Świętokrzyskich (612 m), M) leży nad Prosną.

ROZWIĄZANIE ZADANIA PREMIOWANEGO NR 276
z 32 numeru „Świata Młodych" z dnia 15.03.1980 r.

Prawidłowe rozwiązanie – Prawoskrętnie: porządek, Jarosław, zaleta, bochenek, sztaluga, szaleniec, kołatka, Pomona, Opole, przewaga, podłoże, zarobek. Lewoskrętnie: poroże, jarząbek, zarodek, Bolesław, sztacheta, szalunek, kolega, Połaniec, omotka, przepona, podwale, załoga.

Nagrody wylosowali:
Magdalena Bartas – Zabrze, Piotr Busz – Gostyń, Piotr Grabiec – Polanica Zdrój, Mirosław Jońca – Józefów, Małgorzata Kozaczenko – Przemyśl, Janusz Łakus – Ostrołęka, Maria Olejniczak – Chociemyśl, Cezary Pawłowski – Warszawa. Zbigniew Stęplowski – Złoty Potok, Ireneusz Zawrotniak – Głębokie.

TAJEMNICZE DZIAŁANIA

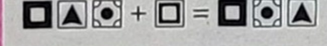

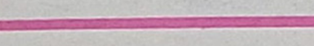

W tym układzie rysuneczków zaszyfrowane są matematyczne działania na liczbach. Każdy rysuneczek, to jedna cyfra. Powtarzające się w tym układzie takie same rysuneczki, oznaczają powtarzające się takie same cyfry. Działania wykonujemy – zgodnie z ich znakami – zarówno w kierunku poziomym, jak i pionowym. A więc – podstawiamy pod rysuneczki cyfry i wszystko się zgadza! Powodzenia.

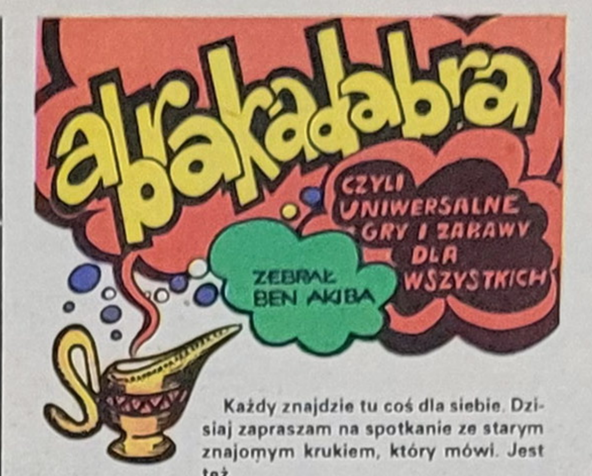

Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Dzisiaj zapraszam na spotkanie ze starym znajomym krukiem, który mówi. Jest też nowa krzyżówka liczbowa – zagadka kryminalna aż ze Szkocji. Tymczasem kłaniam się do soboty!

BEN AKIBA, gospodarz Abrakadabry

Odpowiedzi z poprzedniej soboty

GDZIE JEST LUDZIK: trzecia główka od góry po prawej jest główką bliźniaka. TO JASNE JAK SŁOŃCE: wcale nie trzy razy, a cztery; sprawdź! KRASNALE: A–3, B–4, C–1, D–2. TAJEMNICZE DZIAŁANIA: rozwiązanie obok. DWAJ MALARZE: malarz w berecie popełnił 8 błędów:
zmienił pień dużego drzewa koło domu, ostatnie okno na prawo, okienko na poddaszu dużego domu, niższa wieżyczka na przybudówce, drzewa po lewej stronie obrazu, brak dyszla u wozu, źle narysowana antena, brak jednej kaczki na wodzie. Jego kolega z fajką popełnił aż 9 błędów: zmienił dach wieżyczki głównego domu, drzwi do tego domu, jedną z nóg konia stojącego bokiem, nie narysował pęknięcia na narożniku domu, koń na lewo nie ma ogona, brak kołka w płocie po prawej, za dużo „łat" na ścianie domu po prawej, o jeden kamień za dużo nad drzwiami domku po lewej, o jedną łatę za dużo na koniu po prawej.

Tajemnicze działania

67×7=469
\+ − −
324 : 4 = 81
391 − 3 = 388

Tajemnicza kradzież w Szkocji

Stary szkocki arystokrata – lord Lynx of Scotland, znany w swojej okolicy dziwak i fantasta, zawiadomił przed kilkoma dniami Scotland Yard, że dokonano kradzieży w bibliotece jego zamku. Lynx of Scotland nie wierzył bankom i trzymał pieniądze między stronicami „Encyclopedia Britannica", w różnych zresztą tomach. Inspektor Mixmilk, który natychmiast zjawił się na zamku, poprosił o pokazanie mu biblioteki.

– Oto właśnie w tych tomach: w tomie drugim – między stronicami 147–148, w tomie trzecim – między stronicami 241–242 i w tomie trzynastym między stronicami 443–444 – miałem włożone spore sumy w banknotach. Znikły! – mówił wzburzony lord Lynx.

Detektyw Mixmilk dotknął grzbietów stojącej na półce encyklopedii i nie musiał do niej zaglądać, aby stwierdzić, że stary arystokrata kłamie. Jak doszedł do tego przebiegły pracownik Scotland Yardu?

ZIMOWE WSPOMNIENIA

Oto obrazek z końca zimy. Zamieszczamy go z zagadką mówiącego kruka. Stary kruk mówi szyfrem. Trzeba jego wypowiedź rozszyfrować i poszukać na obrazku przedmiotu, o którym mówi kruk, określić jego położenie metodą „szachową" i poczekać do przyszłej soboty, kiedy to będzie można sprawdzić swój wynik poszukiwań z prawidłowymi odpowiedziami. Przy „łamaniu" szyfru dużą rolę odgrywa liczba pięć.

Róża ma ochotę pomóc wspinającemu się żuczkowi, tylko nie na pojęcia, gdzie wędrowiec chce dojść. Może na zielony liść babki, a może na sąsiednią łodyżkę? Ogranicza się do dotknięcia czarnego pancerzyka zerwaną kitką tymotki. Żuczek nieruchomieje, udaje martwego.

– Chyba chciałaś mi coś powiedzieć?

– Tak.

– Cały zamieniam się w słuch.

– Myślisz, że to tak łatwo?

– Nie ma łatwo.

– To ja wiem.

– Więc ta pani zachorowała i ty myślisz, że to przez ciebie, prawda? – W tym, co powiedział Marek, była jakaś racja albo raczej część racji, cień słuszności, bo przecież najważniejsze było wcale nie to, co odgadł.

– Każdemu się zdarza zlecieć z kilku stopni. Nie przejmuj się tym za bardzo.

– Widzisz, ja się muszę przejmować. To jest bardzo dziwna sprawa.

– Zaraz... – przykucnął na piętach obok Róży. – O ile pamiętam, mówiłaś, że ci państwo, u których mieszkasz, są bardzo starzy. Starsze osoby często chorują na serce i nie ma w tym nic dziwnego.

– Kiedy ty nie wiesz...

– Czego nie wiem?

– Bo moja mama, jak była w moim wieku, mieszkała u tych państwa. W czasie wojny, rozumiesz?

– Rozumiem.

Powiedział z przekonaniem, że rozumie, ale przecież nie mógł zrozumieć. Bo niby jak i skąd?

– Oni mówią o mojej mamie „Basia". I od kiedy przyjechałam, tamtej pani ciągle się wydaje, że ja jestem Basia. To znaczy mnie się wydaje, że jej tak się wydawało, bo ona teraz zachorowała i nawet się nie można zapytać. – Róża urywa swoją nieskładną opowieść, to znowu wcale nie jest to, co powinno być powiedziane. – I ja w ogóle nie chciałam do nich przyjechać, ale mama się uparła. I już właściwie mogłabym wrócić.

– Wrócić?

– No, do Warszawy. I teraz jak mogę, to wcale nie chcę. Czoło Marka wygładza się, nie ma śladu po zasępionych zmarszczkach, które zjawiły się, kiedy powiedziała, że teraz może wyjechać.

Wiesz, będziemy codziennie chodzić na pływalnię. Jeżeli lubisz grać w siatkówkę, zrobimy rozgrywki na boisku szkolnym. I wykombinuję dla ciebie rower od mojej siostry. Niedaleko są ruiny zamku.

Wydaje się, że mógłby jeszcze przedstawić Róży wiele kuszących wspaniałości, ale ona i bez Marka wie, jak chciałaby zagospodarować czas, który przyjdzie jej tu spędzić, ma przecież swój pomysł. Jeśli się zabierze do tego, co sobie wymyśliła, nie zostanie jej zbyt wiele godzin na pływanie, ścinanie ostrych piłek i na dalekie wycieczki.

– U nas jest wiele bardzo ładnych miejsc, możesz mi wierzyć. Dlatego buduje się motel dla turystów. Bo właściwie czemu wszyscy jeżdżą – w kółko na Mazury albo do Zakopanego, a nie do nas?

Nie potrzeba agitować Róży. W cienistym parowie, gdzie słońce przesiewa rozproszone światło przez gąszcz liści, i tak się wie, że tutaj jest ładnie. Może nawet nie ładnie, a pięknie, chociaż to bardzo duże słowo. Ostatecznie, czy piękne mają być wyłącznie ośnieżone szczyty albo słońce rzucające złocistą poświatę na grzywacze fal? Piękne mogą być także takie krzaki wspinające się po zboczu i murszejące cegły kapliczki otulone dołem kołderką puchatej trawy.

A nawet jakby było brzydko, koszmarnie i dosmucająco, Róża także nie chciałaby stąd wyjeżdżać. To są dwie zupełnie inne sprawy, jedna nie ma żadnej styczności z drugą.

– Czemu nic nie mówisz?

– Bo nie wiem jak.

Chyba Marek jednak coś rozumie z niepokojów Róży, dotyka końcami palców jej ramienia.

– Nie martw się. Czasami coś jest zakałapućkane, a później się okazuje, że właściwie nie było sobie nad czym łamać głowy. I o co ci właściwie chodzi? Dla mnie sprawa jest jasna, chociaż rzeczywiście to nieprzyjemne, że ta pani tak się przestraszyła i dostała ataku serca, ale moja babcia też dostała ataku serca, kiedy spóźnił się pociąg i ojciec zamiast wieczorem przyjechał rano. Trzeba było wezwać pogotowie.

Jednak nie ma prawa opowiedzieć o uniesionej w górę lampie i o dziwnych słowach kruchej kobiety, nie wolno także mówić o Basinym tyfusie, te tajemnice nie należą do Róży i chociażby dlatego nie są tematem do rozmowy. To prawda, że są dziewczyny paplające bez zahamowań o swoich i nie swoich sekretach, Róża nie należy do nich, potrafi dokładnie rozgraniczać to, co może być powiedziane, od tego, co opowiedziane być nie może.

– Musimy się już chyba zbierać? – Chętnie by posiedziała dłużej jeszcze na aksamitnej trawie, ale już przez gałęzie leszczyn i czarnych bzów widać różowiejące na zachodzie niebo, jeszcze godzinka i zacznie się zmierzchać, ma przecież wrócić na ósmą i powinna być punktualna.

Cdn.

W TYM MIEJSCU ZACZYNA SIĘ:

ANTRESOLKA PROFESORKA NERWOSOLKA

(oraz jego gospodyni, Entomologii Motylkowskiej)

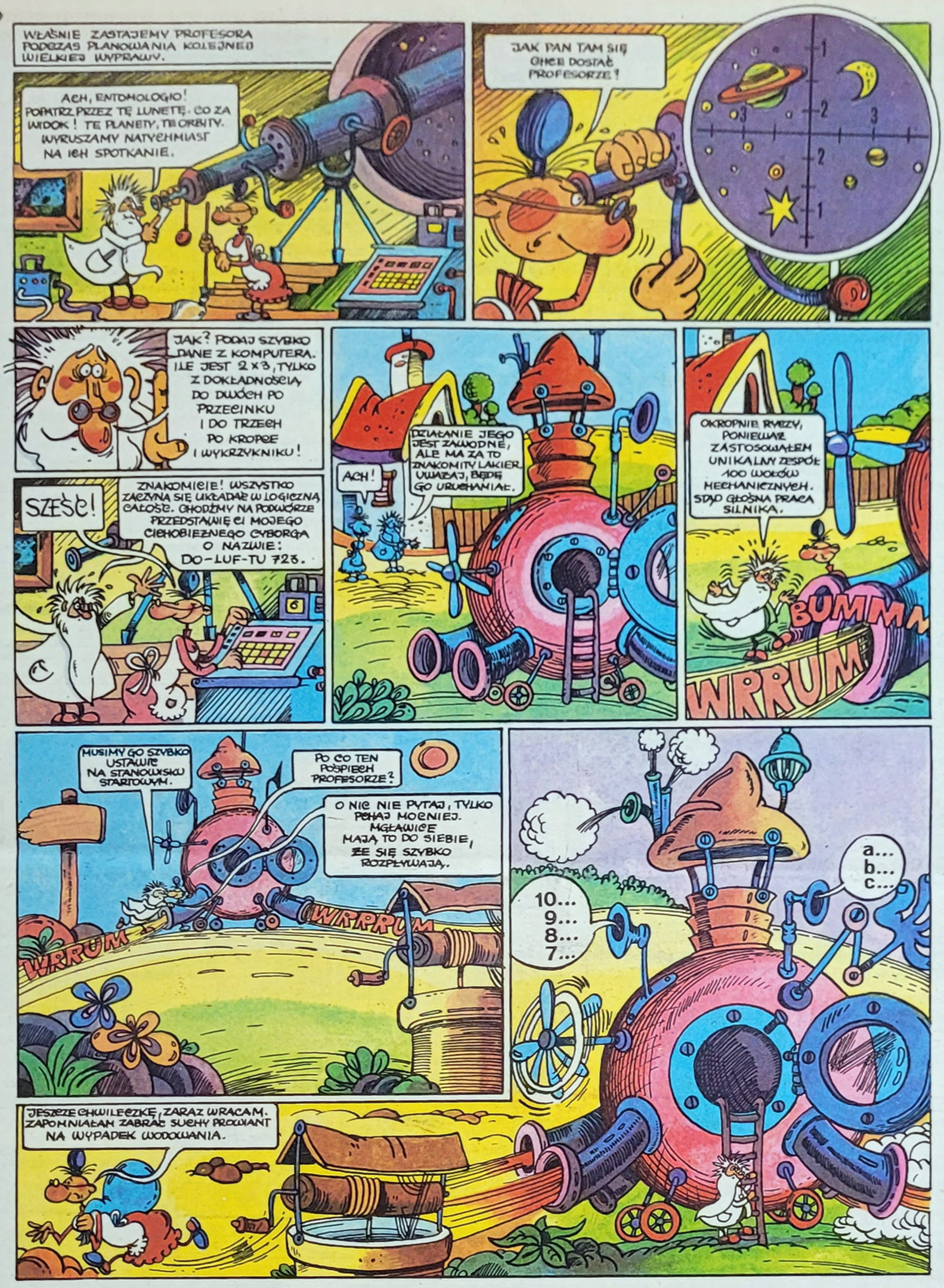

ODC. 2

tekst & rysunki T. BARANOWSKI

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice. (tel. 53-77-33, telex 03115569).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.).

TELEFONY:
Red. naczelny: 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział łączności z Czytelnikami – 21-81-13

TELEX – 81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji szkół w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV O/Warszawa nr 1153-21045-139-11, w terminach, dla prenumeraty krajowej.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zlecenodawców indywidualnych, o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Opracowanie graficzne
Grażyna Klechniowska

Opracowanie techniczne
Małgorzata Waś

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego.

Zam. 2090/G

G-37

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

W następnym numerze:

- Gra w „Pana Tadeusza" – opowieść o niezwykłej drużynie harcerskiej, potajemnych zbiórkach i bohaterstwie
- Korespondencja z dalekiej Baszkirii
- O dzikich zwierzętach, których tysiące giną co roku z pragnienia
- Jakie ryby z odległych akwenów żyją w naszych jeziorach

DZIEŃ, NOC I PORA NICZYJA

EWA NOWACKA

22

Ale jest tamten dom, blada kobieta zagubiona w pościeli ogromnego łóżka, strych zawalony rupieciami, chrobot klucza w zamku, kruszące się tynki, zdziczały, bezpański ogród, same zagadki, same pytania. Nie, Róża nie ma chęci na nowe pytania i nowe zagadki, co nie znaczy wcale, by nie powiedziała:

– A właściwie czemu akurat tu straszy?

– Bo kiedyś był tu cmentarz. Podobno.

– Taki kawał od miasta?

– Przecież tłumaczyłem ci, że była epidemia dżumy. Zresztą może nie dżumy, tylko cholery, nie jestem pewien. Wystarczy przymknąć na moment powieki, żeby zobaczyć ten zabawny, kolorowy rynek, ale tym razem okna i drzwi domów są zabite deskami, znaczone złowrogim czarnym krzyżem. Jest pusto, zupełnie pusto, nawet w uliczkach nie majaczy żaden cień, tylko wyje pies i wiatr skrzypi niedomkniętą okiennicą. Nie, są ludzie. Okryci od stóp do głów ciemnymi opończami, w przerażających ptasich maskach. Dźwigają nosze...

Róża wzdryga się. Jak dobrze, że naokoło jest tylko parów, kędzierzawa leszczyna i łany konwaliowych liści, brodaty święty frasuje się dalej, opuściwszy ciężkie dłonie wzdłuż ciała.

– Lubisz tu przychodzić?

– Lubię.

– Dlaczego?

– Bo mi się tu dobrze myśli.

– O czym myślisz? – może to wścibstwo, ale Róża zadaje to pytanie.

– O różnych rzeczach.

Nie odpowiada ze zniecierpliwieniem i nie ma za złe Róży jej ciekawości, chyba po prostu znają się zbyt krótko, żeby mogła usłyszeć, o czym myśli się w zarośniętym parowie, gdzie przed wiekami grzebano zmarłych na dżumę.

Przysiadają na trawie. Róża nagle przypomina sobie swój pomysł, gdyby Marek zechciał jej pomóc... Tylko jak mu opowiedzieć o tym, co opowiedziane być powinno, ale tak, aby się nie roześmiał i nie zakpił, że dziewczyny zawsze stwarzają problemy, tam gdzie ich nie ma, a w dodatku mają bujną wyobraźnię i wymyślają różne trele-morele bez składu i ładu.

– Słuchaj, czy widziałeś kiedyś kogoś, kto był bardzo chory?

– W zeszłym roku umarł mój dziadek – odrzucił krótko i gniewnie. Róża nie zwróciła uwagi ani na ten ton głosu, ani na nagłą bladość.

– Bo ta pani, u której mieszkam, właśnie zachorowała. Dostała ataku serca, kiedy spadłam ze schodów. Z trzech schodków, ale ona się okropnie przestraszyła i... Jednak nie można przekazać, nawet Markowi, tego, co się rozegrało wczorajszego wieczora w tamtym domu. Cokolwiek Róża powie, zabrzmi fałszywie i nie będzie nawet wątłym odbiciem prawdy.

Po źdźble pełznie czarny żuczek. Dla takiego maleństwa ta trawa jest ogromna i nieprzebyta jak puszcza, jeżeli spadnie z łodyżki, którą obejmuje szczeciniastymi łapkami, zagubi się, a pióropusze traw zamkną się nad nim i może nigdy nie zobaczy już słońca.

Dokończenie na str. 7